



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów

Treść Numeru. Jam satis (Wiersz). — Prelekcje Publiczne Fr. Henryka Lewestama. — Wspomnienie Klaryncisty opowiedziane przez Ereckmann'a i Chatrian'a przełożył Jan Chęciński. — Przegląd piśmienniczy. — Natalja Borisówna Dolgorukowa powieść p. Furrnanna. — Przegląd teatralny. — Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie.

Jam satis.

Stary bazarzu! Niech sobie młodzi
O raju brzęczą na strunach z tęcz,
Niech się weselą, tak się im godzi,
Ty, na swych strunach boleści brzęcz!...

Na czole twojem boleść wryta
I w ciągłej trosce włos zbierał ci,
A o twe bóle nikt się nie pyta,
A o twych troskach nikt ani śni...

Niech cię świat zowie starym dziwakiem,
Ty, za zniewagę daj piosnkę mu,
Kochaj go zawsze sercem jednakiem,
I pieśnią prawdy odgrywaj złu...

Stary mój, stary! O znałem ciebie,
Gdyś różnie patrzył, i mężniej w dal...
Gdyś w ludzi wierzył, jak w Boga w niebie...
O żal tej wiosny, tej wiary żal!

Dziś stoisz, stary, sam pośród świata,
Miłość i przyjaźń, to węże dwa,
I zdrad wspomnienie pierś ci oplata,
I jako mewa pierś jęczy twa...

Więc, na mogile usiądźmy, stary!
Zanuśmy jeszcze gdy mamy czas!
Zanim śmierć dla nas zgotuje mary,
Zanuśmy, może ostatni raz...

I usiadł bazarz na starym grobie,
I z bladych oczu trysnęła łza,
Bolesnych wspomnień śnać dotknął w sobie,
Śnać zajrzał okiem do bólów dna.

I długo milczał, a usta drżały,
I słuchał niby i patrzył w dal...
Czy coś tam dojrzał? Bo wstrząsł się cały —
I rzekł: wszak żyłem... więc czegoż żal?...

Żyłem jak wszyscy, złudzeniem, bracie.
Cóż utraciłem?... To złudne nic!
W maryl wierzycie, maryl kochacie,
Ciśnicie usta do trupich lic...

I łono trupie, i czaszka trupia —
I pierś u świata rozbity dzwon!..

I życie głupie i ziemia głupia!..
Idźmy gdzie wieczność, idźmy gdzie On!

I lutnię swoją cisnął od siebie,
Aż się rozprysła... A potem wstał —
I rzekł: tym ludziom, na mym pogrzebie
Powiedz, że zabił bazarza... szal!...

Klemens Podwysocki.

PRELEKCJE PUBLICZNE

FR. HENRYKA LEWESTAMA.

(d. 13 Grudnia 1869 r.)

Przy końcu zeszłego odczytu, nakreśliwszy w kilku rysach ogólną fizyognomię okresu, który niemięj, a może, bardziej jeszcze dla swoich zdobyczy na polu literatury i sztuki, niż dla donośności faktów zewnętrznych, jako wiek czternastego Ludwika zajmuje w historii Francji jedno z miejsc najprzedniejszych, miałem zaszczyt wyrazić, że jedną z najświetniejszych sław tego wieku, z najświetniejszych chwiał całego francuzkiego narodu, jest wielki jego poeta komiczny, *Molière*.

W istocie na czele owego orszaku znamienitych pisarzy, których arcydzieła charakteryzują najwymowniej rząd osobisty Ludwika XIV, przed innymi wyróżnia się Molière, któremu absolutna monarchia udzieliła w pełni wszystkich swobód geniuszu. Rzecz — to dziwna, lecz niemięj prawdziwa, iż w epoce, w której o wolności nie mogło być mowy, scena komiczna, niemal w tym samym stopniu, co i teatr tragiczny, nie potrzebowała kępować się niczem, — zapewne głównie dla tego, że godność królewska zbyt stała wysoko, by o zbyt szorstkie dotknięcie jej ktokolwiek mógł się nawet pokusić, a wszystko znów, co wręcz jej nie dotykało, obchodziło ją w ogóle niewiele. Molière otrzymał więc nieograniczone prawo kontroli nad życiem, nad obyczajami swojego czasu, — największe nawet jego zuchwałstwa niepospolitą zwyczaję doznawały zachęty. Dwór i stolica chętnie słuchały, lub przynajmniej udawały, że chętnie słuchają nauk poety, który z jedną tylko religijną obłudą miewał do przebycia walki trudniejszej, chociaż ostatecznie i z hipokrytów udało mu się zedrzyć maskę na scenie. Wprawdzie, zanim Molière doszedł do tej udzielną potęgi swego talentu, przechodził on

przez długi nowicyat bystrych spostrzeżeń, wewnętrznych doświadczeń; studyowanie własnego serca, które namiętność zmąciła, odkryło przed jego wzrokiem najskrytsze sprężyny ludzkich czynności. Obdarzony zadziwiającą zdolnością skupiania się w sobie, zdolnością refleksyi, potrafił on, wśród zmiennych koleji życia koczowniczego, wśród przygód nieodłącznych od dyrekcji trupy wędrownych aktorów, którą, jak sam mawiał, trudniej niekiedy rządzić, niż państwem, — potrafił ruchliwą działalność łączyć ze spokojem rozmyślań. Molière więcej jeszcze uczynił, bo zapomniał o sobie, — niejako wynagradzał się za to, że patrzył tak jasno, że tak trafnie pojmował, — a umysł jego wrażliwy i szczery odbijał w sobie wierne piętno ludzkości, które uwydatniała następnie potęga jego talentu. Dlatego to Molière malował z taką prawdą, rysunku i kolorytu wszystkie odmiany fizyognomii człowieczej. Prawdziwy geniusz komiczny, jaki Molière może sam jeden w tym stopniu doskonałości posiadał, t. j. dar uwydatnienia rysów ogólnych natury ludzkiej w jej typach indywidualnych, ten geniusz komizmu odrywa się od własnej osobistości poety, by żyć cudzemu życiem i by je oddać na scenie: — to też jedną z najtrwalszych zalet Molierowskich komedyi jest to, że autor w nich sam nigdy nie występuje na scenie, że widzimy tylko wyprowadzane przezeń postacie, a w tych jego postaciach cały ród ludzki. Są to wierne portrety, nie kopiujące nigdy tych, których tak wybornie umieją przedstawiać, — są to satyry ogólne bez zółci, które też dla tego (jak trafnie wyznał Boileau), uczą nie obrażając, bo nawet w tych razach, gdy w przystępie niezwykłej i dobrodusznnej szczerości siebie samych w owych typach poznajemy, możemy z nich korzystać cichaczem i bez upokorzenia, skoro w nich nigdzie nie jesteśmy wytknięci palcami. Satyra bezpośrednia porusza miłość własną, której komedya oszczędza: — ta ostatnia wypowiada prawdę wszystkim do koła, lecz nikomu z osobna i ze złośliwą nieraz intencją nie szeptę takową na ucho. ¶

* * *

Jan Chrzyciciel Pocquelin, z przydomkiem a raczej pseudonimem Molière, urodził się 15 Stycznia 1622 r. w Paryżu i zmarł tamże r. 1673. Pochodzeniem swoim należał on więcej nawet może do niższej niż do średniej klasy społecznej, ojciec bowiem jego, jakkolwiek kamerdyner królewski, miał zarazem kram tapicerski i starzynny, skutkiem czego młodziem od lat dzieciennych poznał z bliska język, charakter i ducha gminu. Rzadko kiedy powołanie

do przyszłego zawodu było bardziej stanowcze, więc niepowściągnięte, jak ta skłonność, która ciągnęła Moliera do sceny. Napróżno ojciec chciał go w swoim sklepie zatrzymać; — nie go tu nie zajmowało prócz książek, tak iż wkrótce uznając, że trudno o-przeć się takiemu popędowi do nauk, musiano go od-dać do kollegium Jezuitów, później pod kierunek słynnego filozofa Gassendi; — napróżno otworzono przed nim karierę rządową wpisaniem go w poczet adwokatów: — teatr, który poznał i który ukochał, odrywał go od każdego innego widoku. Opowiadają, że kiedy jeden z dawnych jego nauczycieli robił mu w tej mierze na prośby ojca surowe wymówki, młody Molière odpierał je tak zwycięsko, że w końcu skłonił tegoż nauczyciela do wejścia samemu w skład trupy, która przy rozbudżonym przez kardynałów Ryszelięgo i Mazarinięgo guście do przedstawień scenicznych, dawała wówczas pod nazwą *Enfants de famille* amatorskie reprezentacje. I tu jeszcze z początku, by wiernym pozostać powołaniu, Molière miał do walczenia z licznymi trudnościami i niejedną pokusą; między innymi były jego współuczni, książę Conti, ofiarował mu posadę na dworze. Lecz ani przysjań książęcia, ani ponęta ambicji nie zdołały go już sprzeniewierzyć komedii. Tak więc Molière napiętnowany był owym znamieniem geniuszu, jakim jest pociąg niepowstrzymany do jednego ściśle określonego kierunku. Z tem wszystkiem, smak dramatyczny rozwinął się w nim wcześniej niż duch moralisty: — jako autor, długo jeszcze stawał on kroki omackiem, zanim znalazł godne dla siebie pole: — zwiedzając w gronie i na czele wędrownego towarzystwa aktorów wszystkie niemal prowincje Francji, aby zabawić motłoch improwizował farsy na wzór Włoskich, które naśladował również w *Trzpiocię* (*L'Étourdi*) i w *Przekorach Miłosnych* (*Le dépit amoureux*), lubo w kilku już scenach tej drugiej zwłaszcza jego próby większej komedii, występuje na jaw niezmierną zręczność w pochwyceniu obyczajów i namiętności, prawda charakterystyki, naturalność i komizm spostrzeżeń, — szczególnie w scenach 3 i 4 aktu IV, gdzie naprzód Erast z Lucylą, potem ich sługi Gros-René z Marynetta, wracają stopniowaniem mistrzowskiem z rozdwojenia miłości do dawnych zapałów sercowych.

Ale dopiero w Paryżu, dokąd po dwunasto letniem tułactwie w 1659 r. powrócił, Molière mógł się w zupełności rozwinąć. Stawiając tu w samym już centrum ruchów społecznych, łatwiej zdołał odkrywać w nich dysharmonie, a związany z życiem teatru przez artystyczne swoje zamiłowania, przez powodzenia aktorskie, nawet i przez ludzkie słabości, snadno zrozumiał, że zamiar jedynie bawienia współczesnych byłby rolą zbyt pospolitą, — że scena powinna się oczyszczać, uszlachetniać, podnosić, gdyż podniesiona potrafi być szkołą naprawiającą wady serca i zбочzenia umysłu, — przynajmniej zbijając je z toru za pomocą śmieszności.

Nowy ten zamiar reformatora moralisty widoczny zupełnie już w *Wykwintnisiach* Moliera (*Les précieuses ridicules*), które ukazują nam w całym blasku geniusz komiczny poety. Słusznie też podczas pierwszego przedstawienia tej sztuki mógł jeden z widzów, sędziwy starzec, zawołać: — „Courage, Molière, voilà la bonne comédie!“ Była to w samej rzeczy inauguracja komedii obyczajowej. Po dowcipnych naśladowaniach teatru włoskiego i hiszpańskiego pojawiło się tu żywe odbicie społeczności francuskiej, a zarazem pod postacią *wykwintni* poeta mógł zgromić fałszywy smak literacki, który od tak dawna wiał na francuskich pisarzy z za Alp i z za Pirenejów. Już bowiem od przybycia dwóch królowych francuskich, Katarzyny i Maryi de Medicis, zaraza mędrkowania była opanowała całą Francję, duch przesady owaładł wszystkich umysły, a zwłaszcza pleć piękna za tryumfalnym swym wozem wiodła tłumy młodych światowców, którzy u nóg jej potworne wierszem i prozą składali ofiary. Ztąd też pleć piękna stała się najwyższym sędzią dzieł smaku i najpierwszą rozdawczynią ich nagród — ztąd nastąpiło mieszanie języka mówionego z piśmiennym, obcowanie potoczne straciło swoją swobodę i naturalność, wszystko krępowało się wymuszonością i wyszukiwanem naciąganiem.

Skoro kobiety jedne stały się opiekunkami pisarzy, drugie ich współzawodniczkami, a wszystkie wyłącznymi niemal sędziami, język przesadny a płaski ogarnął również całą literaturę: — poetyczne dziwolągi zalały Francję. Menage, Voiture, panna de Seudéri wyścigali się w zwrotach nienaturalnych,

w wyrażeniach których główną zaletą było nazywanie rzeczy po niewłaściwym imieniu. W zabawnej tej gmatwaninie, której pod kłatwą obrazu dobrego smaku, nawet przyzwyczajeni owych wykwintni nikt przeniewierzać się niemógł, w miejsce np. czepka nocnego mówiono: *niewinna kłamstwa współniczka*, — *łańcuch duchowny* znaczył różaniec, — *zwierciadło niebieskie*, wodę. Molière pierwszy powstał na te dziwactwa, tak jak niegdyś ojciec angielskiej poezji, Chaucer, pierwszy wymierzył pocisk na gotyckie i szlacheckie obyczaje swojego wieku.

Krytyka więc Moliera padła na te jedynie kobiety, które śmieszna swą przesadą stały się nieznośnymi. — na owe mniemane filozofki, przekonane, że myśl rozumiana przez wszystkich nie znaczyć nie może i że kaleczenie własnego języka powinno im przynieść zaletę.

Dla uniknięcia wszelkich zarzutów osobistości, poeta wprowadził na scenę dwie parafianki, świeżo do stolicy przebyte; tym sposobem imaginacji swobodniej bując dozwolił i sztukę swą bardziej zbliżył do prawdy. Sztuka ta była rewolucją. Wypowiadała ona głośno, to co wielu rozumnych ludzi myślało, lecz otwarcie wymówić nie śmiało. Sam nawet prawodawca tego skrzywionego kierunku, sam hotel de Rambouillet, nie odmawiał Molierowi oklasków, a prawdziwe wykwintnie rumieniły się na widok śmieszności swych *naśladowczyń*. Menage, jeden z najślynniejszych ich popleczników, uznał się od razu pobitym: „Ktoby dał wiary — rzekł, wychodząc z teatru do swojego kolegi Chapelaina — ktoby dał wiary, żeśmy aprobowali wszystkie te głupstwa, któreśmy teraz widzieli tak dowcipnie i rozumnie wysmiane... Wypadnie nam teraz spalić to cośmy uwielbiali i uwielbiać, cośmy dotąd palili. Zresztą spodziewałem się tego, — i pierwsze to przedstawienie wyleczyło nas z galimatjasu stylu wymuszonego.“ Tak więc poeta jednym ciosem umiejętnie wymierzonym zreformował scenę komiczną i gust literacki, lubo nie brakło oczywiście i takich, przejętych zwłaszcza zawiścią pisarzy, którzy, jak Saumaise, Visé i inni, broniąc przesadnie wykwintnej płci pięknej, pisali i drukowali blahe swoje krytyki. Wkrótce przecież i oni znikli nazawsze i dzieło Moliera — powiada Champfort — przeżyło tych nieprzyjaciół, którzy je zwalczyć usiłowali, bo wszędzie zdawało im się słyszeć ową gniewną na końcu sztuki apostrofę poczciwego mieszczanina Gorgibus, ojca Magdusi i Kasi: „Allez vous cacher, vilaines; allez vous cacher pour jamais! Et vous, qui êtes cause de leur folie, sottes billevesées, pernicieux amusements des esprits oisifs, romans, vers, chansons, sonnets et sonnettes, puissiez-vous être à tous les diables!“

Jeżeli w tej sztuce pomimo zupełnego niemal braku intrygi, pomimo szczupłości rozmiarów i niektórych szczegółów akcji, przypominających gdzie niegdzie dawniejszą farsę, styl, satyryczna intencja, sarkastyczny i pełen prawdy rysunek śmieszności i charakterów, ukazują nam już geniusz poety na wysokości prawdziwej komedii, tedy w następnej, p. t. *Sganarelle, ou le Cocu imaginaire* (Urojona Niewierność) wrócił się znów jednym krokiem do czysto włoskiej krotchwili, z której nawet przedmiot swój czerpał żywcem, lubo podnosząc go wierszem wyborym i w najswawolniejszych nawet wybrykach humoru ową prawdą natury, która zawsze pozostawała mu wierną. Molière wprowadził to tej komedii postacie z niższej warstwy ludowej, — nie dziw zatem, że Sganarelle bywa niekiedy prostakiem i używa wyrażen, jakie w dobranych towarzystwach miejsca mieć nie powinny. Ale ten sam Sganarelle jest zarazem wysmianym oryginałem zazdrośnika, śmiesznym i wysoce komicznym dla swego widzenia rzeczy i sposobu myślenia. Wyborym jest w tej mierze monolog w scenie XVII, gdzie pałając zrazu zemstą przeciw mniemanemu kochankowi swjej żony, zwolna jednak przychodzi do przekonania, że nie ma się o co tak sierznić, bo wypadek walki może być niezupełnie bezpieczny.

Przytoczony tu przezemnie wyjątek, równie jak kilka późniejszych jest przekładem Fr. Kowalskiego, który przetłumaczył dość zręcznie całego Moliera, szkoda tylko, że usiłował go spolszczyć, scenę naznacza najczęściiej w Warszawie, nawet imiona i nazwiska ze Sganarellów i Walerych przerabia na Samniewiczów, Taksobickich i t. p. Z lekkimi jednak zmianami postugiwać się mogłem tym przekładem, kiedy dawniejsze, Bohomolca, Bogusławskiego, Dmochowskiego, dziś już czytają się zbyt niesmacznie. Oto wstęp

z owej 17 sceny Sganarella, w której zazdrośnik się reflektuje, że dla wiarołomnej żony nie warto karku nadstawiać:

Wprawdzie honor mój szepcze, że taka zniewaga
Koniecznie się, mospanie, mój zemsty domaga.
O! niech szepcze i gada i wlezie na górę!
Czym szalony, nastawać na swą własną skórę?
Gdybym się z niecnym zdrającą chciał wdać w krwawą
zwadę,
A on mi w pierś lub w oko pchnął śpiczastą szpadę,
Pewnie by całe miasto smutny zgon mój zdziwił; —
Lecz czyż zacny mój honor tém by się pożywił?
Nie, nie! gdy się śmierć nie da odwrócić okupem,
Wolę być tysiąc razy zwiędzionym, niż trupem.
Cóż ztego? czyż ja przez to chodząc nie mam snadnie?
Skaleczęję? lub z głowy korona mi spadnie?
Wszak mój honor jest moim: — cóż -to za szalony,
Co przypiął honor męża do postępów żony?
Tak! *sony* niechaj za swe pokutują grzechy;
Czemuz sami mężowie znoszą ludzkie śmiechy?
Za cóż na nas bij zabij? Na nas jaki taki?
Za naszych żon konszachty my pieczemy raki?
To szaleństwo mospanie! to śmiech! jak Bóg luby!
Rząd, rząd taką niesłuszność powinien wiaść w kluby.

Z jednymże człek na głowie nosi się kłopotem,
Co mu nieraz po sercu kuje, niby młotem?
A głód? wojna? golizna? słabość? zamieszanie
Mało go jeszcze czubia? —....
Jeszczeż mam na dobitkę, bez żadnej przyczyny,
W mózgu sobie nabijać urojone kliny?
Żona moja zbłądziła, jęj żal być powinien!
A ja za co mam szlochać, kiedym nic nie winien?
Przynajmniej ja się cieszę, przy Bogu mym świadku,
Że nie sam z mego bractwa jestem w tym przypadku!
Iluż to widzieć można najgodniejszych ludzi,
W których niewierność żony zawiści nie budzi!
I po cóż ja mam *gderać* i *troskać* się wiele
O tę wierność małżeńską? taką bagatelę?
Może mnie nazwą osłem, że tę krzywdę zniostem; —
Lecz, gdybym śmierci szukał, byłbym większym osłem!

W ogóle cała ta sztuka obfituje w sytuacje komizmu niezmiernie dramatyczne. Zawiazkiem intrygi jest portret Leliusza upuszczony przez Celię w jej młodościach, gdy ojciec pomimo obietnicy nie chce jęj już połączyć z tym kochankiem, — akcja postępuje z największą szybkością, a rozwiązanie sprowadzone przez Villebrequin'a, za syna którego Walerego, ojciec Celi, p. Gorgibus, pragnie wydać swą córkę, niepospolicie jest naturalne i trafne, skoro Villebrequin temu ostatniemu oświadcza, że Walery pokryjomu ożenił się z inną; tém samem daje Gorgibus'owi wolność dotrzymania słowa wprzód jeszcze danego Leliuszowi, przez co rzecz cała kończy się z zupełnem stron obu zadowoleniem.

Komedja ta i poprzedzająca, *Wykwintnisię*, ustaliły na zawsze sławę Moliera, którą nieprzyjaciele jego napróżno szarpać usiłowali. Wprawdzie komedja następna: *Don Garcjasz, czyli książę zazdrośny* (*Don Garcia de Navarre, ou le Prince jaloux*), którą poeta nazwał heroiczną nie takiego doznała powodzenia głównie zapewne dla tego, że zhytnia w niej powaga nie podobala się publiczności, przyzwyczajonej raczej w jego utworach do pustoty i śmiechu. Don Garcjasz również był naśladowaniem z włoskiego, z dramatu należącego do rodzaju tak zwanęj tragi-komedji, — lecz o ileż wyżej stoi przerobienie francuskie nad charakterami i scenami oryginału! Molière, który później sam tak głęboko miał doznać wszystkich męczarni zazdrości, odmalowawszy tę namiętność w sferze mieszczańskiej, w Sganarellu, zamierzyl przedstawić ją tutaj w książęciu: — jest-to więc poniekąd dalszy ciąg Sganarella, tylko że na gruncie wznioślejszym. Don Garcjasz, książę Nawarry, wyswobadza donę Elwirę, księżniczkę Leonu, z rąk prześladowającego ją tyrauna, ukrywa ją w swoim pałacu i okazuje jęj wszelką cześć i uszanowanie jęj płci i stanowi powinno. Serce księżniczki zaczyna się skłaniać ku niemu, ale się lęka zbytcejnej zazdrości kochanka. List przez nią do Garcjasza pisany, w którym mu przyrzeka swą rękę, jeżeli się zazdrości wyrzeknie, a oddany dla doręczenia jęj powiernicy, Elizie, przez don Lopeza, dworzanina księcia Nawarry, zostaje porwany, Eliza chce mu go wydrzeć i w tej utarczce połowa listu zostaje w ręku Lopeza, który ją niesie don Garcjaszowi, swojemu panu, ten zaś popadłszy w szał, uspokaja się ledwie znalezionej drugą tego listu połową. Liczne inne jeszcze, równie

blache powody wprawiają go w namiętą wściekłość zazdrości, a jakkolwiek dona Elwira ze wszystkich tych podejrzeń wychodzi zwycięsko on zaś upokorzony przyrzeka poprawę, za chwilę podobne zajścia na nowo się powtarzają. W ogóle dyspozycya zbyt może zawiślana, co osłabia ruch, — ale pomimo tego charakter całości utrzymany jest po mistrzowsku, rosnący do rozwiązania, i rola Garcyasza, którą grał sam poeta, służyła za wzór wszystkim późniejszym pisarzom komicznym, pragnącym przedstawić rozrywki zazdrości na scenie. W samej rzeczy trudno tę zadróść odmalować z większą prawdą i stopniowaniem, chociaż ponure cierpienie w sercu księżęcia, wynikające z tego uczucia wysilenie i rozpacz, nadają całej postaci koloryt raczej tragiczny. Uczuł to Molière i odtąd malował zazdrość, jaką widywał w społeczeństwie, — a ję różne odcienia stawały mu się źródłami niewyczerpanego dowcipu i najweselszego humoru.

Don Garcyas zamyka pierwszy okres działalności wielkiego poety, okres wahania się, niepewności, w którym Molière, nie doszedłszy jeszcze do pełnego poczucia swojej potęgi, stawiał kroki swoje zrazu zwolna i jakby chcąc zapoznać się z gruntem, po którym stąpał. Ale to ostatnie niepowodzenie większego od poprzednich sukcesów dodało mu bodźca; jednym śmiałym skokiem zerwał się, by już więcej nie upaść, zwłaszcza gdy jednoczesna (w r. 1661) śmierć kardynała Mazariniego i rozpoczęte w skutek tego samorządy Ludwika roztworzyły przed nim pole nowe i szersze, a pomiędzy monarchą i poetą zawiązał się od tej chwili rodzaj milczącego przymierza, któremu obaj pozostali wierni do końca.

Głównym źródłem, z jakiego, jak już dotąd widzieliśmy, czerpać zwykł Molière, był świat, społeczeństwo, — bo choć wątek jego komedji brany bywa częstokroć z obcych autorów, przetapiał go tak umiejętnie przy ogniu swojego geniuszu i wlewał weń tyle szczegółów sobie tylko właściwych, że chcąc jego utwory scharakteryzować pod względem samodzielności, mało o nich powiedzieć, że wyszły z pod jego ręki najzupełniej oryginalne, — bo każdy z nich przedstawia sobą oddzielną jakoby fasetę ducha ich twórcy. Molière zajął towarzystwo francuzkie swojego wieku na swoją własność prawem pierwszego odkrywcy i badając je filozoficznie przebiegł cały jego obszar wszędy i w dół, od góry do dołu. Odwaga jego nie uległa się żadnej, niechby najwzniolejszej pozycyi, — sprawiedliwość poetyczna nie lekceważyła żadnego, by najniższego poziomu. Kiedy jako dyrektor teatru i aktor miał obowiązek bawienia dworu wszelkiego nieraz rodzaju najblaszszymi widowiskami, jednocześnie we własnych swych sztukach rozwijał bez żadnych przemilczeń i bez zacierania labirynty życia ludzkiego, kręte ścieżki charakterów człowieczych, i to zarówno z powagą głęboko moralną i psychologiczną, jak z niezrównaną siłą komiczną w inwencji i w wykonaniu. W obec całego świetnego dworu Ludwika, Molière ośmielił się ukazać człowieka, jakim był w samej rzeczy, w pełnej nagości i prawdzie, znikome dziecię występku, namiętności, bezrozumnych słabości, karykaturę sobkostwa, zamiarów ambitnych i chciwych. I czyż każdy z nas nie pozna od razu, jak dalece ważnym było to postępowanie w epoce, w której jedna ludzka jednostka ześrodkowywać pragnęła w sobie całe państwo i naród, — skoro w tej epoce sama poezya wystąpiła w roli sędziego ludzkiej natury, poddając wewnętrznej jej siły żywotną, pod ogniową próbę komedji, wykazując jej ułomność i marność w nieprzeartym rozwoju charakterów ludzkości? Pod osłoną satyry i żartu czuć tu serce gorące, które karci dla tego jedynie, że kocha. Weźmy np. postacie kobiece, których wady potępiając poeta, najwyższe właśnie składał im hołdy. W *Wykwintnisiach* i w późniejszej jeszcze komedji, w *Uczonych Niewiastach* (Les femmes savantes), zdarł on maskę pedantyzmu, który zasłaniał naturalne wdzięki ich ducha; — występował również przeciw innym ich, mniej może rażącym i mniej rzadkim zбочeniom, przeciw owym drobnym zawiściom, lekkim złośliwościom, nie pozbawionym jednakże cudnej zgrabności i gracy. Nad wyraz genialnym jest on szczególnie w malowaniu zalotności kobiecej. Ileż to prawdy ogólnie ludzkiej w tych malowidłach, a zarazem jakież-to typy głęboko francuzkie! Poeci północy nadawali zwykły namiętności kobiecie charakter tkliviej rzewności; — południowi cały żar, klimatowi swemu właściwy; — ale nikt od Molièra nie uchwycił dokładniej wszystkich uroczych niedostatków jej zmięnej natury. W krytyce tego

poety znać, powtarzam to, jego miłość. W *Szkole Męsbów* i w *Szkole Żon* broni ich wysokiej godności; potępia zasady żydowskiego zakonu i prawa rzymskiego, co do niższości i podległości płci słabszej względem mocniejszej; w imieniu sprawiedliwości i szczęścia domowego ogniska podejmuje z pełnym świadomości umiarkowaniem walkę przeciw przesadom, którą rycerski duch średniowieczny był rozpoczął z przesadą, a więc bezskutecznie; tyraństwo mężczyzny odtąd jest niemożliwe, bo je Molière ośmieszył. Żaden zresztą poeta nie czuł głębiej od niego i lepiej też nie wyraził wszystkich subtelnych odcieni miłości; — niektóre w jego komedjach ustępy daleko pod tym względem zostawiają za sobą najprawdziwsze wybuchy tej namiętności u innych serca ludzkiego malarzy.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIE KLARYNECISTY.

OPOWIADZIANE PRZEZ

ERCKMANN'A I CHATRIAN'A

PRZEŁOŻYŁ

Jan Chęciński.

I.

Kiedy mój wujaszek Stavolo w roku pańskim 1840 zakupił piętnasty morg winnicy, ze spadku po starym Hans-Aden-Fischer, i gdy zapłacił gotówką na ręce notariusza Bischof tysiąc talarów, cała wioska Eckerswir była niezmiernie zdziwiona. Mnóstwo osób wróżyło mu jakąś urzędową godność, radziło mianować go burmistrzem albo radcą municypalnym; inni, rozsądniejsi, mówili że posada przysięgłego taxatora win byłaby dla niego właściwszą, zwłaszcza, że nad wujaszka Stavolo nie było większego znawcy, ale on niedbał o te rzeczy i odpowiedział skromnie:

— „Dajcie mi pokój z waszą posadą burmistrza albo radcy municypalnego. Dzięki niebu, zdobyłem sobie spokojność, nakłopotalem się dosyć, mamże teraz, w pięćdziesiątym trzecim roku życia, brać na kark gminę? Nie, nie, wybijcie to sobie z głowy. Miejsce przysięgłego taxatora lepiejby mi przypadło; zawsze to miło wypić szklanekę dobrego wina, za którą się nie płaci, — ale dzięki Bogu, moje piwnice niezgorzej zaopatrzone w *rikevir*, *kwitterle* i *drahenfels* wszystkich gatunków; niepotrzebuję wietrzyć w lewo i w prawo i maczać nos w dzbankach moich sąsiadów. Wiecie co ja teraz będę robił? Wierzajcie że wcale nie myślę założyć rąk za plecy. Będę uprawiał moje winnice mądrze i przezornie, stare już nierodzące szczepy, zastąpię młodemi, gorsze, o ile można lepszymi. Co rano, przechadzać się będę wzdłuż wzgórze z gnipem w kieszeni, a gdy zobaczę zielsko, wytnę do ostatniego; odwikłane wicie poprzycepim do tyzsek... Nie zbraknie mi zajęcia. Potem, wrócę spokojnie do domu, siądę do stołu z moją córką Margredel i siostrzeńcem Kaspresem, po wieczery, wychylimy szklaneczkę dobrego wina, a Kasper rozweseli nas jaką aryjką na klarynecie. W czasie winobrania, powykadzam siarką beczki, czuwać będę nad robotą, nie odstąpię od kadzi, słowem, zamiast wtykać nos do tego co do mnie nienależy, pilnować będę tego co mnie obchodzi. Moi drodzy przyjaciele, niedość umieć pozyskać, trzeba jeszcze umieć zachować; ileż to ludzi przez gorączkowe pragnienie zaszczytów i sławy, skończyło na najzupełniejszej ruinie! Dajcie mi pokój, wiem żeście poczciwi; chcieliście mnie ucieszyć, ja to rozumiem, ale obralście zły sposób. Moje miejsce nie w miejskiej radzie, ale w moich winnicach: nie chcę być niczem więcej, jak tylko Konradem Stavolo... którym też dzięki Bogu jestem.“

Tak mówił mój wujaszek i wszyscy zgodzili się że miał słuszność.

Wszystkiego co powiedział — najsumienniejsz dotrzymał nie tylko własne winnice pielęgnował, ale i moje doprowadził do lepszego porządku.

Od śmierci mojej matki, mieszkałem u wujaszka Konrada, i mówiąc otwarcie, — byłem zakochany w mojej krewniaczkę Margredel; ję blond włosy, różowe policzki z dołeczkami, wielkie niebieskie oczy, były dla mnie najpiękniejszymi ze wszystkich jakie można widzieć na świecie. Ję berecik z czarnej ki-

tajki, gorsecik z patkami srebrnymi i złotymi, pasowa sukienka obszywana axamitem, słowem wszystko, co na siebie włożyła, zdawało mi się nabierać zadziwiającego powabu, więc powtarzałem sobie:

— W całym kraju od Münster aż do Ś. Hipolita, nie ma dziewczynki tak pięknej, kształtnej, uśmiechniętej, uprzejmej, jak Margredel.

Ze swojej strony Margredel, tklivem oczkiem spoglądała na mnie; na wszystkich uroczystościach wioski, tańczyła tylko ze mną. Wyjeżdżaliśmy rano w wózku, na dwóch pękach słomy, *Fox* i *Rappel* ciągnęli; wuj Konrad powoził, całą drogą śmieliśmy się i gawędzili. Dziś jeszcze kiedy pomyślę o tych wycieczkach, o naszym przybyciu pod *złoty Dabanuszek* na plac Hünewiru, o naszych tańcach, zdaje mi się że wracam w lepsze czasy. Wuj Konrad dobrze wiedział że kocham Margredel, ale uważał żeśmy jeszcze za młodzi aby się pobrać.

— „Kasprze, — mówił niekiedy — staraj się zarobić dużo pieniędzy twoją muzyką, biegaj od wioski do wioski, niepomijaj żadnej uroczystości; mówiono mi żeś pierwszym klarynecistą w Alzacyi, że Waldhorn ze swoją trąbą i ty, warcicie tyle co kompletna orkiestra; ojciec Nikloss zapewniał mi o tem, a ja podzielał jego zdanie. Owoż tedy, jak uzbierasz tyle że wystarczy na dwa morgi winnicy, powiem ci mój chłopcze coś... co ci sprawi tęgą przyjemność.“

Mówiąc w ten sposób, spoglądał na Margredel, która spuszczała oczki i rumieniła się po uszy; ja zaś... czułem że serce ledwo mi nie wyskoczy z piersi.

Nie uwierzylibyście jak kochałem Margredel: nieraz gdy jestem sam i kiedy o nię marzę na jawie, zdaje mi się że idę drogą naszej wioski w owym czasie; widzę domek wuja Konrada w pośrodku pochyłości wzgórze, domek z kończącym zębataym szczytem, który się rysuje na tle zielonych winnic Frelandu; widzę maleńkie okienko na wierzchołku dachu nad którym krążą białe i siwe gołębie, które nadmają gardziółki i gruchocząc wracają do szlakowych krateczek; widzę dwa okienka na piętrze od pokoiku Margredel — z lakierowanymi domiczkami pełnymi goździków i rezedy. Widzę Margredel, która na mnie wracającego zawsze patrzyła zdaleka, nieruszając się z miejsca. Myślała że ję nie widział, ale ją widziałem i byłem szczęśliwy jak król; ścisnąłem mój klarynet, wyprostowywałem się, zapinałem katankę, odgarniałem z fantazją włosy i szedłem śmiałym krokiem, aby sobie myślała: Kasper jest najpiękniejszym chłopcem z całej wioski!

A gdym wchodził na schody rzucając spojrzenie do wielkiej izby, jużem ją widział zajęta nakrywaniem stołu, ustawianiem szklanek i talerzy; zbiegła jak ptaszek, nie chciała okazać że wie o moim powrocie, ale ja byłem szczęśliwy, bo ona czekała na mnie i powtarzałem sobie.

— Margredel mnie kocha!

— A! to ty Kasprze?... mówiła — mniemałam żeś jeszcze w drodze.

— Tak Margredel, to ja, odpowiadałem — wieszając moją torebkę podróżną na poręcz krzesła i kładąc klarynie na oknie; przybywam z Orbaj, z Kirschbergu lub z jakiej innej okolicznej wioski.

— Bardzo się śpieszył.

— Tak, bardzo się śpieszył.“

Wtedy patrzeliśmy na siebie; uśmiechała się do mnie pokazując białe, drobne zębki, chciałem ją nieraz uściskać, ale wymykała się krzycząc.

— Kasprze! Kasprze! ojciec nadchodzi!

Uciekała do kuchni — i prawie zawsze gdym wyjrzał na ulicę, wuj Konrad ze swemi szerokiemi barkami, w swoim czarnym kapeluszu i szarej kamizeli, wracał z winnicy. Ah! ja to wszystko widzę, jestem tam! Czemuż te słodkie czasy młodości tak prędko znikają? Dla czego człowiek marzy o nich do śmierci!

Miałem jak największe uszanowanie dla wuja Konrada, kochałem go jak własnego ojca, mimo jego grzmiącego głosu kiedy był w złym humorze, a zwłaszcza kiedy się gniewał, nie przytrafiło się to często, ale kiedy się przytrafiło, było straszne. Wtenczas jego wielki, garbaty nos, zakrzywia się ku ustom jak orli dziób, szare oczy ciskały błyskawicami, głos grzmiał jak trąba ostatecznego sądu. Nie podnosił ręki na nikogo, znał swoją nadzwyczajną siłę, lękał się więc uczynić komu co złego.

Jednak raz w oberży pod *Trzema różami*, gdzieśmy poszli wieczorem podług naszego zwyczaju, wypić butelkę wina w towarzystwie właścicieli winnic

z Eckerswiru, którzy się tam zgromadzali, — widziałem jak się uniosł i zbladł z powodu sprzeczki o jakiś szczególny sposób szczepienia wina. Stary Mériane utrzymywał że szczepy *tokaju*, powinny się pochylać cokolwiek ku bruzdom, aby lepiej wschodziły, a wuj Konrad mówił że trzeba je sadzić zupełnie prosto. Mériane zakończył tem, że wuj Stavolo nie zna się całkiem na uprawie winnic, że nie umiałyby odróżnić szczepu *tokajowego* od innych szczepów z Drahenfeltz! Wuj się rozgniewał i uderzył pięścią w stół, aż butelki, szklanki i półkwatki podskoczyły pod sufit. Potem wstał, krzycząc piorunującym głosem:

— Dalej moi panowie! który z was potwierdzi zdanie Mériana? Jemu nie chcę odpowiadać... ale wam odpowiem... stańcie we trzech, w czterech, choćby i w sześciu przeciw mnie jednemu!

I wodził wzrokiem naokoło sali, ale się nikt nie ruszył. Wtedy przekonałem się że wuj Konrad był najsilniejszym z całej okolicy, widziałem na własne oczy. Nieraz słyszałem że pan Stavolo pokonał w swoim czasie wszystkich herkulesów, którzy stawali do wiejskich potyczek, że nawet przed kilkoma laty, jeździł wyzwać do walki niejakiego Diemera, handlującego drzewem, którego zwano *Debem Wogezów* z powodu jego nadzwyczajnej siły, i że go rzucił o ziemię jak długiego. Ale przy nas był zawsze umiarkowany i często powtarzał, że siła nie znaczy, że nie wypada się z niej chęłpić, a powtarzając to, głaskał sobie podbródek z tak pokorną miną, że przekonana o tem co mówił miną, że nareszcie uwierzył jego słowom i uważał go za człowieka najspokojniejszego pod słońcem. Powtarzał mi nieustannie:

— Kasprze, jeżeli ci się kiedy przytrafi zaplątać w sprzeczkę, wiesz co masz uczynić?

— Nie wiem wujaszku

— To ja ci powiem. Oto, ponieważ Bóg Wszechmogący obdarzył cię długimi nogami, masz się natychmiast skierować ku drzewom i drapnąć w pole. Masz niewięcej siły od zajęcia, toż za pierwszym natarciem runąłbyś na ziemię a inni biliby się depeząc po tobie. Roztropności mój chłopcze, roztropności! to pierwsza cnota klaryncisty co się chce żenić.

Niechże kto uwierzy po tych rozsądnych słowach, że wuj Konrad nie koniecznie był roztropnym, że oprócz swoich winnic, muzyki i dobrego wina, lubił jeszcze i coś innego!.. Ale pod *Trzema różami* poznałem że się szczylił swoją siłą i byłem djabelnie zdziwiony.

Jednakże uspokoiwszy się prawie natychmiast przeprosił starego Mériana, dodając, że dla tego tak mówił, aby się przekonać czy który z młodzieńców będzie miał odwagę ująć się za siwymi włosami. Wtedy ojciec Mériane przynął że wuj Konrad jest dobrym uprawiaczem, że się zna na wszelkiego gatunku szczepach, na szczepieniu, na kadziach, na fermentacji, na wszystkim, nawet takie pochwały oddawał wujowi Stavolo, że ten, do reszty uspokojony, odpowiedział mu z uśmiechem iż się cokolwiek za daleko zapędził, że uprawę winnic trudno zbadać do gruntu, że im więcej człowiek się nauczy, tem więcej do nauki mu pozostaje, że ponieważ doświadczenie jest rzeczą najpewniejszą, młodzi niemogli stawać do walki o jaką bądź świadomość w obec takich jak ojciec Mériane starców.

Nareszcie obadwaj tak się rozczulili, że kiedy *wachtmann* około jedenastej godziny, przyszedł przypomnieć nam że czas już do domu, uściskali się serdecznie, nazywając jeden drugiego najlepszym uprawiaczem winnic i najpocześniejszym człowiekiem z całego pobraża aż do Thanu, a nawet jeszcze dalej. Obecni, rozczulili się razem z niemi.

Otóż to takim sposobem przekonałem się, że wuj Konrad nie pogardzał siłą tak dalece, jak we mnie wierzył, chcąc koniecznie uchodzić za spokojniutkiego.

II.

Tego samego roku, przy schyłku lata, jedna z krów wujaszka Stavolo była bliską ocielenia. Była to najpiękniejsza krowa z Eckerswiru, z rasy szwajcarskich, rosła, maści kawowej, dająca dużo mleka, a nazywała się *Roesel*. Od ośmiu dni weterynarz Hirsch przychodził ją odwiedzać i za każdym razem mówił: „to będzie jutro.“

W tym czasie, nadeszła uroczystość Kirschbergu, gdzieśmy co rok jeździli tańczyć i pokosztować Kirsch-

wasseru. Ponieważ ten rok był bardzo urodzajny na owoce — czarne wiśnie, śliwki, tarki, morwy, jagody, — wszyscy co powracali z Kirschbergu, mówili że góra dokoła wioski była pokryta drzewami tak obciążonymi owocem, że trzeba je było popodpierać aby się niepołamały. Mówili przytem, że w folwarku ojca Yeri-Hansa dystylują dzień i noc, że wynaleziono sposób obywatnia się bez alembików, przeprowadzając parę do wielkich beczek z żelaznymi obręczami, i inne podobne rzeczy. Spodziewano się tedy, że uroczystość będzie wspaniała, co nas wielce dręczyło, bo ja i Margredel, wiedzieliśmy dobrze, że wuj Konrad z przykrością opuściłby dom. Nareszcie on sam wziął nas na stronę w wielkiej izbie i rzekł:

— W tym roku nie pojedziemy na uroczystość do Kirschbergu. Weterynarz codzień powtarza: „to będzie jutro!“ a ja nie mogę opuścić *Roeseli* w takim momencie, nie, nie mogę zostawić w rękach Hirscha i służącej, bydłęcia które mię kosztuje sto talarów i które mi daje sześć donic mleka rano i wieczór: nie miałbym sam ani minuty spokojności. Słuchajcie moje dzieci, pojedziemy na uroczystość do Witzenheim, za piętnaście dni, to nam sprawi nie mniejszą przyjemność i będziemy mogli pić kirsch-wasser w oberży pod *Czerwonym wołem*, tak dobrze jak pod *Złotym dzbanuszkim*, nawet będzie lepszy bo podstarzeje.

— Masz słusność ojcze, — odpowiedziała Margredel z dość nie wesołą miną.

I umówiwszy się w ten sposób, pozostaliśmy w domu kiedy tymczasem połowa Eckerswiru spieszyła do Kirschbergu. Nic nie widziano, tylko wózki i woły pędzące sznurem, na których były po cztery, pięć i sześć pęków słomy, pokrytych ludźmi w świątecznej odzieży, ze wstęgami u kapeluszy i świecidłami we włosach. Smutno spoglądaliśmy na nich oknem a dziewczęta wołały na Margredel:

— Héj! Margredel, nie jedziesz? dalejże! włoż swoją piękną spódniczkę, mamy tu jeszcze miejsce!

— Dziękuję, odpowiadała Margredel, zamawiam łaskę na drugi raz.

A chłopcy wołali na mnie:

— Kasprze! bierzże co przedź twój klarynet i przybawaj! Wsiądziesz na *Schwartz'a* i hop, hop! byle jazda!

A ja potrząsałem tylko głową.

Wuj Konrad w swoim ogródku po za domem, podpierał drzewa, aby nie widzieć tego wszystkiego. To trwało blisko do dziesiątej, wtedy dopiero nastąpiła cisza, w wiosce zrobiło się pusto, zostali tylko starzy którzy siedząc przed domami wygrzewali się na słońcu, nawet psy pobiegły za wozami, i nie było słyhać ich szczekania jak zwykle.

W czasie obiadu, wuj Stavolo mówił, że niezawodnie zjedzie się mnóstwo ludzi na uroczystość, że nie będzie się można obrócić, że oberżyci skorzystają z okazji aby się pozbyć najgorszego cienkuszku i spleśniałych serów. Mówił że nam będzie daleko lepiej w Witzenheim u ojca Michała Blumm, jednego z jego starych towarzyszy, który go od dawna zapraszał na *Kugelhof* i *brimbelwasser*. Potem zeszliśmy razem do obory odwiedzić *Roesel*; wuj mi powiedział że niezawodnie *Roesel* będzie miała tej nocy cielátko, że jeżeli tak, jutro raniutko pojedziemy na uroczystość, ale ta rzecz przeciągnęła się aż do wtorku, więc było zapóźno.

Jednak tego samego wieczora, po kolacyi, wuj Konrad który palił fajkę bardzo rzadko i to tylko tytło przez siebie plantowany w ogródku po za domem, — wziął małą bukszanową fajeczkę w kształcie tulipana, i włożywszy ją do kieszeni rzekł:

— Pójdź no Kasprze, zobaczymy co się też dzieje pod *Trzema Różami*; jestem pewny że wiele osób już powróciło z Kirschberg; stary Bremer, Mériane, Zaferi; oni mają zwyczaj od trzydziestu lat spać u siebie, za nic w świecie niepozostaliby do jutra. Margredel, jeżeli się co przytrafi w oborze, pchnij zaraz po mnie Orchele.

Wyszliśmy razem.

Schodząc ze schodów, wujaszek dodał:

— Jestem ciekawy jednak, czy się dobrze bawia na uroczystości; dowiemy się wszystkiego.“

I szliśmy ulicą w milczeniu; w kilka chwil potem, weszliśmy do wielkiej sali oberży pod *Trzema Różami*.

Wuj Konrad nieomylił się; już spora gromadka starych wróciła, siedzieli oparci łokciami o stół, paląc fajki i rozpowiadając sobie o tem, co widzieli przez cały dzień godniejszego uwagi; przypominali

jedni drugim, że w tym lub owym roku będzie temu dziesięć, dwadzieścia lub trzydzieści lat, uroczystość w Kirschberg była piękniejsza, bądź w czasie przejazdu króla Karola X, bądź za przybyciem Maryi Ludwigi do Francji, bądź w czasach świętego Justa, kiedy to zasadzono wielką topolę w pośrodku wioski. Skarzyli się że wszystko z każdym dniem znikało, że młodzież straciła dawniejszy zapał, że podatków przybywa, że kirsch-wasser, wino, piwo, mąka, nareszcie mięso podrożało; że Bóg wie kiedy się to wszystko skończy, i że to jest chyba szkaradą ogólnego zniszczenia, przepowiedzianego przez Pismo Święte. Nawet stary pisarz mera, ojciec Bremer, w swojej rudawej peruce, dobrze uczesanej, podobnej do futrzanej czapki, ze swoją potężną fajką z Ulmu, zupełnie zczerniałą, z której co pół godziny puszczał kłęb dymu, — zdawał się być melancholijniejszym niż zwykle, wtulił uszy między dłonie i patrzył w swoją szklankę, gawędząc o dawnych czasach.

Wuj Konrad i ja, zasiedliśmy między innemi; Zaferi Mutz, oberżysta, przyniósł nam dwie szklanki i butelkę, zapytując czy *Roesel* ma już cielátko; wuj odpowiedział że jeszcze nie, potem słuchaliśmy tego co opowiadano.

Do dziesiątej godziny, prawiono tylko o dawnych uroczystościach, a przedewszystkiem o ostatniej. Mimo zaprzeczeń pisarza, większość zapewniała, że nigdy niejechało się do Kirschberg więcej ludu, więcej tancerzy i tancerek, że wielka sala, zwana pospolicie *madame Hütte* była pełna jak ul; że stary Yeri-Hans zadzierżawiwszy zabawy za dwieście talarów, odbudował namiot z nowych desek, kazał odświeżyć chorągwie, poustawił wewnątrz ławki dookoła, co każdy powinien pochwalić, bo przecież nie jest od rzeczy kiedy babcia i dziadek mogą sobie usiąść i przypatrywać się tańczącym wnuczętom. Mówili także iż Kirsch-wasser miał przewyborny smak, że winnica dobrze się prezentowała, że gry, mianowicie *rampo*, kręgle, kogut i baran, już całkiem pokryły wydatki Yeri-Hansa.

Nareszcie gwarzono o tem i owem; o młodzieży, o nowo-modnych czepkach z tiulu, które Soffayel Kartiser sprowadziła ze Strasburga, o buchastych rękawach i włosach układanych w krzyż na grzebieniach pół stopy wysokich. Stary pisarz znajdował dawne Kirschbergskie mody daleko piękniejszymi, axamitne berety z długimi wstęgami, jedwabne spódnice w ogromne kwiaty, długie włosy spadające za uszami aż do pięt; słowem wszystkie dawne mody od trójgraniastego kapelusza, szkarłatnej kamizeli, okrągłych trzewików ze srebrnymi sprzączkami, aż do szarego młynarskiego kaftana i białego fartucha handlujących serami, wydawały mu się stokroć piękniejszymi od bluzy i wełnianej czapki.

Ale te rzeczy niezajmowały wuja Konrada, który poziewał w kułak i zdawał się z trudnością otwierać oczy.

— Słuchajno panie Bremer, zawołał nagle stary Mériane, w wielu rzeczach masz słusność. Prawda że staromodne suknie i dawne berety były piękniejsze od włosów na krzyż i szarych bluz, powiem nawet więcej, kwaszona kapusta i wędliny były dawniej lepsze, bo lepiej wędzono mięso, a zamiast sruby drewnianej do przyciskania kapusty, kładziono na denko ogromny kamień, który ciągle opadał, kiedy tymczasem jeżeli dziś zapomną przykręcić srubę, kapusta psuje się w piwnicy. W tem wszystkim podzielam twoje zdanie, ale są przecież rzeczy, w których dzisiejsza młodzież dorównywa dawniejszej.

Pisarz potrząsnął głową.

— Próżno potrząsas głową, mówił Mériane, to pewne. Naprzykład co do walki, co do siły i zręczności, powiedz szczerze, widziałeś kiedy mężczyźnę lepiej zbudowanego, silniejszego od Yeri-Hansa, zucha który powrócił z Afryki i który uderzeniem pięści zabiłby wołu? Widziałeś kiedy za naszych czasów podobnego herkulesa, pytam ja pana?

Pisarz zdawał się namyślać. Wuj Konrad poruszył się na ławce i odkalsnął jak gdyby chciał odpowiedzieć, ale zamilkł, a stary Mériane dodał:

— Ten rosły kanonier, uważajcie no ojcze Bremer, ten zuch, nieulałby się sześciu ludzi, rozumie się ludzi zwyczajnych, nie takich jak mistrz Stavolo tutaj obecny, bo to znów byłoby przesadą, ale ja utrzymuję że za naszych czasów niebyło człowieka, któryby mógł iść w porównanie z Yeri-Hansem. co do prawdziwej siły.

Wtedy stary Mériane wychylił swoją szklankę, a wuj Konrad zapytał z miną obojętną:

— O jakim to kanonierze mówicie? We wszystkich czasach byli silni ludzie, jednak mnie dziwi że pierwsze słyszę o tym waszym kanonierze.

— Ależ to syn Yeri-Hansa, dzierżawcy pobraża Kirschberg, odrzekł Mériane.

— Ah! ah!.. tak, tak... przypominam sobie... wysoki na sześć stóp... chudy, blondyn, z czerwonymi policzkami, wyciągnięty jak nitka... tak, tak... syn starego Yeri... mówił wujaszek młynkując wielkimi palcami, patrzcież państwo! i on taki mocny? No proszę, nigdy bym niepomyślał... to mi się jakoś nie naturalnym wydaje.

— Był wyciągnięty i miał blond włosy zanim odjechał do Algieru, powiedział Mériane, ale obecnie jest rudy, tak panie Stavolo, ma cerę brunatną a barki... ho, trzeba widzieć jakie to barki! Ot, tak szerokie, dodał rozszerzając ręce z uwielbieniem.

— Wybujalność nie stanowi siły, rzekł wuj Konrad wychylając porzywco szklanke. Hans! jeszcze butelkę! Nie, wybujalność niedowodzi siły, widziałem wysokich jak tyki, a wcale nie silnych. Kiedy mi kto mówi o mocnym człowieku, zapytuję zwykle co on takiego zrobił?

— Znać że nie wracacie z uroczystości ojcze Konradzie, odpowiedział Mériane, inaczej wiedziałbyś że w całej okolicy mówią tylko o synu Yeri-Hansa, wiedziałbyś że powalił wszystkich którzy się ośmielili stanąć z nim do walki.

— Kogo? zapytał wujaszek.

— Wielki Boże! nie przypominam sobie ich nazwisk, ludzi bardzo mocnych, wszystko co było najsilniejsze z uprawiaczy winnic, drzewiarzy, węglarzy, herculesów różnego rodzaju. To nie trwało minuty, każdy leżał na grzbiecie i wywijał nogami po powietrzu, aż dreszcz przejmował... Co za człowiek, co za człowiek z tego Yeri-Hansa!

Wuj Konrad zrazu nie odpowiedział; pokaszłał trochę, potem wydobywał fajkę z kieszeni.

— Są uprawiacze i uprawiacze... rzekł z dziwnym uśmiechem. Chcę wierzyć że wasz rosty kanonier jest silnym, musiał się niezawodnie wyuczyć w pułku, kilku z owych sztuczek o których mówi cyrulik Münch, a które zależą na podstawieniu nogi, albo też na uderzeniu obcasem w głowę... tak, tak, słyszałem ja nieraz o czemś podobnym; żołnierze, jedni drugich wyuczają takich figielków, potem wracają do swoich wiosek powalać o ziemię ludzi słabych, kulawych, garbatych, biedaków którzy ledwie dyszą, potem wszyscy się lekają owych mniemanych herculesów i powtarzają na wszystkie strony: „to straszny człowiek, silny jak niedźwiedź! Boże Wszchemogący! Kto ma siwe włosy, powinienby się pierwej zastanowić nim co wyrzeknie. Wiecie dobrze ojcze Mériane, że ja chociaż tak mówię, nie sobie z tego nie robię, jeżeli wasz kanonier mocny, tem lepiej dla niego. Siła niedowodzi rozumu, przecież i woły mocne a głupie... ale słuchać bez ustanku podobnych rzeczy, to drażni nerwy. Życzę z całego serca aby ten Yeri-Hans był najmocniejszym człowiekiem w świecie, jego ojcze jest jednym z moich starych towarzyszy. Nareszcie powtarzam, że trzeba się zastanawiać, kiedy kto mówi w obec ludzi poważnych.

To powiedziawszy, wuj Konrad zapalił fajkę u świecy, a pisarz Bremer zawołał:

— Ojcze Mériane, wiecie co? gdyby mi przyszło trzymać za waszym kanonierem albo za ojcem Stavolo nienamyslałbym się długo; mistrz Konrad choć już niemłody...

Ale wujaszek przerwał:

— Co tobie znów przychodzi do głowy panie Bremer? Ja miałbym walczyć z młodzieńcem? Przed dziesięć, piętnastu laty, to co innego, wtedy może bym drażniło słyszeć nieustannie jak kogoś chwala, że jest najsilniejszym w całej okolicy, chciałbym się o tem przekonać, ale dziś nie, nie! niech się probuje z kim chce, niech sobie zawija rękawy po same łokcie ja mu przepowiadam że znajdzie swojego mistrza, ale nim niebędzie Konrad Stavolo.

— Oh! ja rozumiem panie Konradzie, że w twoim wieku niebyłbyś zdolnym pójść walczyć z młodzieńcem. — rzekł Bremer, ale mówią otwarcie, gdyby do tego przyszło, zarazbym trzymał za toba.

Wujaszek się uśmiechnął, tymczasem wachtmann uderzając w podłogę swoją wielką laską, rzekł:

— Panowie! już jedenasta!

Wszyscy powstali i każdy udał się do domu.

Po drodze, wuj Konrad odezwał się po długim namyśle:

— Ten stary Mériane traci głowę! on zawsze ta-

ki od trzydziestu lat, jak tylko co zobaczy to zaraz mu się zdaje najpiękniejszym. Niech tam ktoś kogoś wyrzuci, zaraz go okrzyczy najsilniejszym z całego świata, a niechajno broń Boże, pobije dwóch, to już będzie wrzeszczał że niewidziano mu równego od Adama i Ewy. Ale jesteśmy w domu. Dobranoc Kasprze, byle tylko *Roesel* zdecydowała się tej nocy.

— Dobrzeby zrobiła i pewno Margredel byłoby przyjemnie pojechać do Kirschberg i wywinąć kilka razy walczyka; biedaczka posmutniała!

Udałem się do mego pokoju, a wujaszek Stavolo, wszedł do swojego.

III.

Wuj Konrad, który niemógł wywalić się z domu z przyczyny *Roeseli*, wszedł nazajutrz raniuteńko do gołębnika. Przechodząc otworzył swoje drzwi i kazał mi pójść za sobą. Gołębnik był na samym wierzchołku dachu, nad górką z sianem, trzeba było wchodzić do niego po drabince. Wuj Stavolo kazał całe wnętrze wyłożyć deskami, poprzybijanymi do łań oienka o zaopatryć dokoła w dobrze zaostrome kolce, aby niedopuszczyć kun, bo te drapieżne zwierzątka są niesłychanie chciwe na krew. Weszliśmy więc jeden za drugim, a gołębie znały nas tak dalece, że nam siadały na ramionach. Miałem nawet zwyczaj nabierać w usta grochu, z kąd go wydobywały bijąc się między sobą.

Wujaszek przepatrywał gniazda, nagle wychylił się okienkiem i cheiwie spoglądał na trzy pobraża Frelandu, Mittelweiser i Kiensheim pokryte winnicami. Długo tak patrzył pochylony, gołębie pozostawszy w zmroku, bo im zastonił okno, pośpieszyły do gniazd, rozpościerając skrzydła nad małemi, ja zaś pytałem siebie:

— Czemu się tam wujaszek tak przypatruje?

Przypatrywał się winnicom, do których od trzech dni niemógł zajrzeć.

Nareszcie cofnął się od okna i rzekł do mnie z miłą uradowaną.

— Kasprze, jeżeli ta pogoda potrwa sześć jeszcze tygodni, będziemy mieli to, co się nazywa rokiem obfitującym we wszystkie dary ziemi. O winnicę można być spokojnym, ziarno już uformowane, trzeba mu tylko dużo słońca, które w swoich promieniach zawiera szczególną słodycz. Jest ono mówiąc jaśniej, życiem i duszą stworzenia, a ta wielka słodycz pochodzi od komet. Tak, będziemy mieli sławny rok i cieszę się że nie niesprzedam moich beczek chociaż Mériane chciał za nie dobrze zapłacić. Właściciele gruntów na wyższej części góry, także nie będą się skarżyć, bo na wiosnę spadły obfite deszcze, kartofle wzmocniły się a zboża nabrały pełności. Spójrzyno tam na wyższym pobrażu, na te poletka żółte jak złoto pomiędzy jodłami, to owies anabaptysty Pelslego, ma go sześć morgów razem. A tam niżej w cieniu Reethalu, te wielkie brunatne kwadraty, to kartofle Turekheimu, łodygi zaczynają więdnąć z powodu wielkiego gorąca, a ono kartoflom niezaskodzi, bo już całkiem uformowane. Koniec końców, wszyscy mogą się weselić, bo Stwórca obdarza błogosławieństwem całą ziemię. Zejdźmy Kasprze, a zamknij dobrze drzwi żeby się kuny niedostały.

Wtedy wszedł obrócony przodem do drabinki, postępowalem za nim w ciemności, zamknawszy drzwi i zasunawszy rygiel. Gdyśmy zeszli na górkę wujaszek położył mi rękę na ramieniu i rzekł ze śmiechem:

— To właśnie pora mój Kasprze abyś wyruszył w drogę i dobrze dał w swój klarynet, im rok urodzajniejszy, tem ludzie weselsi. Nie idzie im o grosz ani o dwa, ani nawet o trojaka. Staraj się zarobić, staraj się zakupić dwa morgi winnicy jeszcze tej zimy, dodawszy do nich trzy które już posiadasz i moje, — gospodarstwo nie lada podrośnie. He! he! he! tak, tak mój chłopcze, pamiętaj że trzeba korzystać z młodości.

Słyszając to, czulem się prawdziwie szczęśliwym, bo ze sków wuja Konrada mogłem wnieść że myśli na dobre o mojem małżeństwie z Margredel. Potem wszedł na podwórze i widziałem z mego okna, które właśnie na tę stronę wychodziło, jak wszedł do wielkiej szopy przegladając swoje beczki i kufy, jak opatrywał obręcze jedną po drugiej, potem jak z założonemi rękami zatrzymał się kilka chwil przed tłoczarnią. Nareszcie otworzył drzwi od lamusu z prawej strony i słyszałem jak pukał w puste beczki, których wnętrza wydawały silny przedłużony odgłos.

Słońce przyswiecało wspaniale.

Skoro wybiła dwunasta zszedłem do wielkiej izby, gdzie zastał Margredel nakrywającą stół obrusem. Wtedy, wzięwszy ją za rękę powtórzyłem słowa wujaszka, spuściła oczki i nic nie odpowiedziała.

— Ah! Margredel, — zawołałem, — ja wiem że mnie kochasz... ale gdybyś mi to sama powiedziała byłbym najszczęśliwszym z chłopców całej wioski.

— Dla czegożbym cię nie miała kochać? odrzekła na to, ze słodyczą. Nie jesteś najuczciwszym człowiekiem, najlepszym...

— Nie, nie, Margredel, ja nie takiej pragnę odpowiedzi. Powiedz mi tylko: „Kasprze, ja ciebie Kocham!”

— Ah! odrzekła otwierając drzwi od kuchni, tyś z niczego nie zadowolony.

Ponieważ wuj zbliżał się, nie miałem czasu powiedzieć więcej. Wszedł z miłą poważną, usiadł i rozpostarł serwetę na kolanach chociaż Margredel jeszcze nie nie podała.

— Rzec zabawna, — spoglądając na kobiety, które przechodziły pod naszymi oknami z koszykami na głowach, — rzecz zabawna jaki rój ludu powraca z Kirschbergu! Od samego rana nie nie widać jak tylko pełne koszyki śliwek i baryłki Kirsch-wasseru.

W tej chwili weszła Margredel i postawiła dymiącą wazę na stole. Usiadłem obok niej, wujaszek nam nalewał; potem Ochel przyniosła półmisek kwaszonej kapusty z wędzonką. Wuj Konrad nakładał i jadł w milczeniu; nikt nie myślał o niczem, kiedy przy końcu obiadu, prostując się na krześle, zawołał:

— Nie mówią o niczem więcej tylko o tym kanonierze, nawet przed minutą, dwie baby przechodząc ostrokrzewiową drogą po za szopą, mówiły: „Kanonier zrobił to! Kanonier zrobił tam to!” — dziwna, dziwna rzecz!

Przekonałem się wtedy, że jeszcze myślał o tem co nam powiedział ojcze Mériane w wilę pod *Trzema Różami*. To mnie zdziwiło bo pospolicie wuj Konrad myślał tylko o swoich a nie o cudzych interesach.

Margredel także wydała mi się zdziwioną.

— O jakim kanonierze wszyscy mówią? zapytała.

— O tym drągalu Yeri-Hansie co skończył służbę wojskową — odpowiedział — i co się uważa za najsilniejszego z całej okolicy.

— O synu starego Yeri z Kirschberg? ah! ja znam go dobrze, — powiedziała Margredel mocno uradowana. To przystojny chłopiec, wysoki, blondyn, nieprawda mój ojcze? Zdaje mi się że go jeszcze widzę jak przed siedmiu laty, kiedyś mię pierwszy raz zawiózł na uroczystość, tańczył w *Madame Hütte*, a wszyscy szepotali: „Co za przystojny chłopiec! jak dzielnie tańczy! nie ma w wiosce tancerza równego synowi starego Yeri.” Ja wtedy byłam jeszcze bardzo młoda, siedziałam za wszystkiemi z ciotką Krystyną ale byłabym chętnie poszła do tańca, nogi podskakiwały mi same. Patrzałam jak się wszyscy bawili, a nikt niepomyślał o mnie. Aż tu ni ztąd ni zowąd, Yeri, który się przechadzał około sali, spostrzegł mnie i natychmiast się zatrzymał wołając: „miejsce! miejsce!” Niewiedziałam czego chciał; sąsiedzi zwrócili na mnie spojrzenia: „co ja widzę! to panna Margredel? mówił Yeri, — więc pan Stavolo tutaj? Niewiedziałem was... Ale mój Boże! dlaczego panna Margredel nie tańczy?”

— Co tobie w głowie panie Yeri, — zawołała ciotka Krystyna, — ona jeszcze za młoda!

— Za młoda? przepraszam, to już dorosła panienka i najpiękniejsza ze wszystkich; muszę z nią tańczyć... I bierze mnie za rękę, wyprowadza na środek, a muzyka też natychmiast zabrzmiała. Mocny Boże! cośmy też nie natańczyli tej nocy!... ależ to aż do drugiego rano. Dziewczęta zieleniały z zazdrości. Niezapomnę tego przez całe życie!

Tak mówiła Margredel z błyszczącemi oczyma zacierwionemi policzkami myśląc o owój zabawie. Czulem że mi się serce ścisnęło, byłem smutny, ale niemogłem, nic powiedzieć. Wuj Konrad także mileżał, zatopiony w marzeniu.

(d. c. n.)

Przegląd piśmienniczy.

Przekleństwo — poemat Franciszka Gumowskiego.

Otóż mamy znów przed sobą poemat większych rozmiarów i treści, który jak to zaraz bliższy rozbiór pokaże, koniecznie bliżej zastanowić się każe. Gumowski znany już jest Czytelnikom Tygodnika, tak ze swoich poezji jak i recenzji, jaką przed kilku miesiącami drukowałem w tem piśmie o wszystkich jego pracach. Zwróciłem tam uwagę na rodzaj jego talentu, który spokojny, cichy, nie błyszczy, jak to innym się zdarza, pożyczanym blaskiem, ale za to tętni zawsze jakąś myślą, podnioslejszą, więcej ogólną. Poeta ten młody nie choruje na przestarzały Bajronizm, nie ściga mrzonek, ale przedewszystkiem myśli usilnie, i spokojnie. Ten spokój cechujący prawie wszystkie prace jego, jest i znamieniem utworu nad którym w tej chwili przychodzi mi się zastanowić nieco.

Umieściwszy na początku dewizę z poezji Zmorzkiego p. t. Wieszcz, streszczającą w sobie myśl przewodnią poematu, zaczyna autor od opisu zbliżającego się wieczoru, w który z kosturem w rękę stanął przed dworem staroświeckiej struktury, otoczonym wiejskimi chatami, łąką, lasem co wszystko składało się na uroczy ze wszech miar obrazek. Wpatrzywszy się atoli pilnie dostrzegł, że w dworzec głucho panowała cisza, że dziedziniec był trawą zarosły i pustka ztamtąd wiała. Przerażony tym widokiem chciał się już cofnąć, gdy oto drzwi się otwarły i w nich ukazał się starzec zgarbiony i siwy i rzekł: prosimy, pan mój na was czeka. Więc poszedł za nim poeta do wspaniałej komnaty „błyszczącej niby wschodem odaliska“, gdzie drugiego ujrzał starca a przy nim cudne, jasnowłose dziewczę. Pan domu na jego widok kazał podać kielichy, ciesząc się dawno niewidzianym gościem:

„.....Kiedy wkrótce sługa siwobrody,
Przyniósł puchary i wina i miody,
On — patrząc oknem, niby gdzieś po świecie,
Widziałem — płakał, lecz płakał jak dziecko.
Po chwili jednak wziął za roztruchany,
Nalał je pełne i podał do picia,
Lecz jakby na znak tajemniczo dany,
Jakby popchnięte siłą gdzieś z ukrycia,
Z rąk nam wypadły razem na podłogę..“

Starzec przerażony tym znakiem proroczym rzucił się na krzesło i rzekł ponuro:

„ — Uchodź z mego domu;
Przeznaczę ludzkich myśli twa nie ogarnie,
A mnie pocieszyć nie wolno nikomu.
Uchodź, bo przy mnie potępisz się marnie..“

Wtem kiedy tak oba zdjęci grozą milczeli, rozległ się głos:

„..... niby niezliczony
Grad rzewnych dźwięków rozżalanej nuty,
Z gasnącej piersi łabędzia wysnuty..“

Na dźwięk tej pieśni dziewica znika z pokoju wolać radośnie: to on!

Kiedy zostali sami w pustej komnacie, starzec poczyna opowiadać pocie dzieje swego hulaszczego magnackiego żywota.

„.....Majątek mój był znamienity,
Lecz pierś i serce twarde jak granity.
Społeczność dla mnie była wyrobniem,
Ssałem z niej wszystko. Dostatków, pieniędzy,
Sam używałem a nigdy i z nikim
Nie chciałem mówić o bliźniego nędzy.
Kiedy tysiące rodzin marło z głodu
Ja — kapałem się w winie!... sławę rodu
Chciałem rozszerzyć głośnymi czynami;
I powiększyłem ją samymi łzami
Wdów, dziewic, ludu...“

W dzień ślubu swojego przejechał kołami pojazdu matkę z dziećmi, która krwawa jak duch Banka przy uczcie weselnej pojawiła się przeklinając go. Wszyscy na ten widok uciekli został się tylko on, młoda żona i trup straszny oniej matki tulący do łona

żywe jeszcze dziecko. Obraz to wielkiej siły, nacechowany natchnieniem i głęboką poezją.

„..... Otwarte ję usta
Milczały dziwnie — niby grób wieczności.
A przecież bałem się spoglądać na nie,
Bo mi się zdało, że ktoś z wysokości
Może obudzić ją — że znów powstanie,
By mnie przeklinać.....“

Odtąd poczyna się straszliwy odwet losu. Dzieci umierają mu jedno po drugim, w końcu ukochana żona i zostaje mu córka jedyna, która na domiar nieszczęścia zakochała się w synu oniej zabitej niewiasty w weselnym dniu. Wychował go, wysłał na uniwersytet, by jak sam powiada, mógł zająć swego dobroczyńcę, rozerwać, zabawić, a teraz niewdzięcznik ukradł mu serce jedyniej córki, spadkobierczyni hetmańskiej krwi. Głos rozlegający się w ogrodzie, to głos jego, głos chłopca, który wabi ku sobie rozkochaną magnatkę. Więc zżyma się na to starzec bezsilny i przeklina. Ale poeta tak mu powiada.

„..... stan twój starcze, to ogółu sprawa,
To trup nad którym znęcają się kruki.
Więc powiem szczerze: iż na ziemskim globie
Dla tego wielu masz podobnych sobie,
Że nikt wam nie śmie prawdy rzucić w oczy,
Że brak nam ludzi, którzyby proroczy
Głos podnosili do was w imię bratnie,
Kończycie byt swój, a zamiast ostatnie
Chwile konania, wielkiem uświęceniem
Zapisać w dziejach i świetnym promieniem,
Jak zachodzące słońce olśnić światy,
Zapominacie o wszystkim — jak Roma
Odziana w bisior, perły i szkarłaty,
Grzebiąc się w grobach, własnymi rękoma.
O, zstąpcie z wyżyn, na które was wieki
W nieprzewidzianej wyniosły rachubie;
Zstąpcie — bo koniec wasz już niedaleki,
Bo zaślepieni krocycie ku zgubie..“

Poemat kończy się ogniem pożaru wiejskiej chaty, z którego młodzieniec ratuje pozostałe wśród ognia dziecko, a starzec ów dumny pobłogosławiwszy córkę i pozwalając jej iść za chłopca, rzuca się sam w płomień, gdzie ginie.

Oto mniej więcej treść całego poematu brzemienna wielką choć nie nową myślą. I to go właściwie zbawia i wyrzuca na wierzch że tętni myślą, że zajęty jest wyłącznie swoim celem i do niego dąży, nie zważając na nic, nie zastanawiając się już nad niczem więcej. Ztąd też wszystkie kreacje poematu, tak ów stary arystokrata jak i jego córka i ów mglisty a dziwnie jakoś idealny jej kochanek, dziećmi ludu, nie są ludźmi, brak im krwi i kości, brak życia, ale są to tylko wcielenia takich a nie innych idei poety. Następstwem koniecznym takiej koncepcji poetycznej jest to, że poemat jest raczej traktatem społecznym, a nie ciemnym obrazem wydartym z życia. Autor wszystko tu poświęcił dla swęj myśli przewodniej: ów niefortunny i przez wszystkich kto tylko chciał i mógł zużyty wypadek wyratowania dziecka z płomieni, staje się w rękę poety ogniem oczyszczenia, ideałem poświęcenia ogromem którym stara arystokracja olśniona zatacza się jak pijana i wpada weń a dziecko, ludu jej krew najdroższą zdobywa przez poświęcenie. Tą krwią najdroższą, tym ogniem który ma spręgnąć na nowo na wieki rozerwany łańcuch socjalny, jest według poety kobieta. Oto jak kończy poemat:

„A więc niewiasto, niechaj twoje usta
Rzekną to słowo: stań się. Na skinienie
Twe zadrzy życiem pierś bez uczuć pusta,
I świat odmłódnie. Niechaj twe wejrzenie
Wielką miłością serca rozraduje.
Chciej, twoja wola wszystkiego dokaże:
W niej — świętej, niechaj każdy myśli, czuje,
Niech w blasku słońca buduje ołtarze...
Więc chciej, zablęsnij nam jak świetna zorza,
Kobieto — gwiazdo — posłanko ty Boża!“

Nie będziem się sprzeczać z poetą co do takiego rozwiązania socjalnej kwestyi, bo wreszcie cała myśl nurtująca przez poemat nie może podlegać dyskusji — gdyż walka wywołana przez dwie przeciwne sobie warstwy społeczne, już dziś nie egzystuje, nie ma więc potrzeby myśleć o tem, a tym bardziej walczyć z niczem, bo to wygląda na Donkiszonadę. Tyle o myśli przewodniej. Forma w którą takowa

się przybrała jest gładka, płynna, wyrobiona, choć bez uderzającej siły i charakteru, któryby nadawał jakieś piętno odróżniające Gumowskiego od innych. Przytem jest dużo zdań niepotrzebnych hiperbolicznych, które nużą czytającego — ot np. jedno: słońce

„...nikło powoli w oceanu wodzie.“

to znaczy w oceanie, a zatem ów dwór szlachecki był gdzieś nad morzem, zapewne nad Atlantyką a może w Chinach... Dalej, co znaczy wyraz *Kihiczała*? Jest to zapewne jakiś prowincjonalizm, może dobry dla okolicy która go stworzyła, ale nie mający prawa do obywatelstwa w języku, a cóż dopiero w poemacie.

Poemat ten jak powiedziałem, zwraca na siebie głównie uwagę myślą przewodnią, i to go odróżnia od wielu dzisiejszych bezmyślnych i pustych prac i wybawia od zapomnienia.

Walerj Przyborowski

NATALJA BORISÓWNA

DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

SAMOWŁADZTWO.

Naród oddawna odznaczający się przywiązaniem do swych monarchów, niechętnie patrzył na ograniczenie samowładztwa.

Działania najwyższej rady znalazły wielu przeciwników, a Dołgorukowie musieli znowu używać różnych środków ostrożności.

Książ Bazyli Łukicz który był wysłany do Kurlandii, a następnie towarzyszył cesarzowej w podróży do Moskwy jako naczelnik gwardji, zamieszkał w pałacu dworskim obok pokojów Anny Joanówny, i nikomu, nawet rodzonej jej siostrze Katarzynie niedozwalał rozmawiać sam na sam. Tym sposobem imperatorowa w własnym pałacu, znajdowała się jakby pod strażą.

Anna uznawała nowy ustrój rządu i potwierdziła wszystkie postanowienia i projekta najwyższej rady, ale za nią działali tajni stronnicy z Ostermanem na czele, mimo tego że on ciągle jeszcze chorował, do stosownej chwili i do czasu.

Dnia 24 Lutego, o godzinie ósmej z rana, trzystu szlachty zebrało się u kniazia Czerkaskiego, jawnego przeciwnika Dołgorukich, ztamtąd wszyscy pojechali do Uspiańskiego Soboru, a po wysłuchaniu nabożeństwa udali się następnie do dworu. Tu zastali strażę już podwojone, a żołnierzom rozkazano mieć broń nabitą. Dołgorukowie z przerażeniem powzięli wiadomość o przybyciu tak znacznej liczby najznakomitszej szlachty. Książ Bazyli Łukicz, który jak wiadomo nieodłącznie znajdował się przy imperatorowej, wyszedł do zgromadzonych.

— Panowie czego żądacie? zapytał rzucając na szlachtę niespokojne spojrzenie, gdyż widział między niemi osoby których niechęć dobrze mu była znana.

— Przyszedliśmy prosić cesarzowej o najmiłościwsze wysłuchanie naszej najpokorniejszej prośby, odpowiedział Czerkaski.

— Cóż ta prośba zawiera? zapytał książ uśmiechając się i usiłując zachować pozór silnego protektora.

— Sami osobiście przedstawimy ją najjaśniejszej pani, odpowiedział Czerkaski.

— Nie mogę sprzeciwić się temu, rzekł Bazyli Łukicz, ale skądże panowie taka nieufność do mnie? Z wieloma z pośród was służyliśmy s. p. cesarzowi Piotrowi I i wielu czynami dowiodłem gorliwości o dobro naszej ojczyzny. Niemożecie wątpić że jeżeli tylko wasza prośba nie jest przeciwna prawu ani dobru naszej ojczyzny, to ja pierwszy będę chętnie waszym orędownikiem.

— Niepotrzebujemy orędowników, zimno odpowiedział hrabia Matwiejew, ponieważ nasza prośba nietylko nie jest przeciwna prawu, ale opiera się na prawdziwej miłości tronu... Zamierzamy prosić imperatorową o przyjęcie samowładztwa. Książ Bazyli zmieształ się, ale nie długo odzyskał przytomność

jako biegły dyplomata, który znaczną część życia spędził zagranicą nad rozmaitemi trudnymi politycznymi sprawami.

— Panowie zawołał z udanym zapalem, ta prośba zaszczyt wam przynosi! Z serdeczną radością mogę was zapewnić, że jestem jednego z wami przekonania; oddajcie mi waszą prośbę, a ja natychmiast przedstawię ją imperatorowej.

— Nie! nie! zawołało wielu ze zgromadzonych, oddamy ją osobiście imperatorowej.

Daremne były wszelkie zabiegi Dołgorukowa. Zatrwożony udał się do członków najwyższej rady, którzy także zdążyli zebrać się i donieść o grożącym im niebezpieczeństwie.

— Nikt niepotrafił radzić do tego stopnia wszyscy byli przerażeni, wszyscy, oprócz starego kniazia Golicyna.

— Panowie! rzekł spokojnie, czuję że burza się zbiera i opadnie na moją głowę, alem ja już stary, a ci którzy mnie przeżyją gorzko płakać będą.

Widząc niezawodne nieszczęście, Bazyli Łukicz pobiegł do cesarzowej i usilnie prosił ją, ażeby nieprzyjmowała przybyłych szlachty.

— Wasza ces. mość rzekł — raczysz zważyć że to da zły przykład i osmiele liczących stronników cesarżówny Elżbiety. Co się zaś tyczy treści ich prośby, to rada najwyższa postanowiła już prosić w. c. mość o przyjęcie samowładztwa. Lecz i tu wszelkie prośby i zabiegi kniazia Dołgorukowa, były nadaremne.

Cesarżowa wyszła do sali audjencyjnej, stanęła pod baldachimem i rozkazała wpuścić proszących. Wówczas hrabia Matwiejew wystąpił najpierwszy, i błagał imperatorową w imieniu wszystkich stanów, o przyjęcie samowładztwa, którego od wieków używali wszyscy monarchowie, i żeby wybawiła naród z pod ciężkiej władzy członków najwyższej rady.

— Co ja słyszę? zawołała Anna ze zdumieniem — alboż warunki podpisane przezemnie w Mitawie, nie były wyrazem życzeń wszystkich stanów?

— Nie! nie! naj. pani — odpowiedzieli zgromadzeni. Rada tajna działała nietylko bez zezwolenia, ale nawet wbrew woli narodu.

Cesarżowa zwróciła się do kniazia Czerkaskiego i kazała mu przynieść akt podpisany przez nią w Mitawie. Sołtykow otrzymał rozkaz odczytania tego aktu. Za każdym punktem Anna zapytywała: czy to zgadza się z życzeniem narodu? a za każdą razą całe zgromadzenie odpowiadało jednoznacznie:

— Nie, nie miłościwa pani.

Po przeczytaniu aktu cesarżowa zwróciła się do kniazia Dołgorukowa i surowo patrzyła na niego. Nastąpiła chwila strasznego, pełnego trwogi oczekiwania, chwila w której los Dołgorukich musiał się rozstrzygnąć!

— Więc ty mnie oszukiwałeś kniaziu Bazyli Łukiczu? wyrzekła nakoniec imperatorowa.

Kniaź spuścił głowę i nie neodpowiedział, zrozumiał że zguba jego jest nieunikniona.

Natychmiast wyzłazł akt rozdarto, a Anna objawiła szlachcie, że przyjmuje samowładztwo; że wstąpiła na tron nie z wyboru najwyższej rady lecz prawem następstwa, że ci wszyscy którzy sprzeciwiają się jej samowładztwu, będą karani jako zdrajcy.

Po tak szczęśliwym ukończeniu tego, hyragra barona Ostermana ustąpiła natychmiast, wyzdrowiała niezwłocznie i zaczął pełnić obowiązki swego urzędu. Tego także dnia wysłano gońca do Kurlandii z rozkazem do Byrona, aby natychmiast przyjechał do Moskwy.

Wieczorem w dniu jego przyjazdu dziwne zjawisko przeraziło lud. Na całym widnokręgu zajaśniała zorza północna i całe niebo wyglądało jak gdyby krwią zalane!

Ś L U B.

Po tak stanowczej klęsce Dołgorukowie odsunęli się od dworu, a rodzina kniazia Aleksego Grygorewicza wyjechała do dóbr położonych o 15 wiorst od stolicy. Niezważając na jawną niełaskę w jaką popadli, niezważając na uwagi krewnych i przyjaciół, szesnastoletnia Natalja Borysowna pozostała niezmienną dla narzeczonego i postanowiła go poślubić. Kniaź Jan przeniósł się także na wieś, ale często odwiedzał swoją narzeczoną. Pomimo żywego wzajemnego przywiązania, rozmowy ich były smutne; straszna niepewność przyszłości ciążyła nad młodemi ludźmi, i tłumiała nawet wyznania miłości serdecznej.

— Gdy mogłam go widzieć, tyle tylko miałam pociechy, że popłakaliśmy razem i z tem powracał do domu: pisze Natalja w swoich notatkach.

Widząc nieugiętość młodej dziewczicy, krewni i znajomi powoli zaczęli się od niej odsuwać. Do wszystkich zmartwień przybyła jeszcze choroba starszego brata Natalji. Dom Szeremetjewa sławnego ruskiego magnata, niegdys tak gościnny, wesoły i huczny stał się pustym. Po licznych i długich odwłokach, Natalja zaczęła silnie nastawać, aby położono koniec niepewności jej przykrego położenia, bracia zgodzili się na to i dzień ślubu został oznaczony.

W początkach kwietnia 1730 r. w pochmurny lecz ciepły poranek wiosenny, drobny deszczyk odświeżał okazującą się gdzie niegdzie zieloność wiosenną w ogrodzie Szeremetjewych, a w domu odbywały się dziwne, wzruszające sceny.

Wszyscy domownicy zajęci, zafrasowani, biegali z piętra na piętro i znosili rozmaite rzeczy, na wszystkich twarzach malował się nieduży smutek, a od czasu do czasu, niektórzy skrycie ocierali łzy, mimo woli cisnące się do oczu. Z pierwszego wejrzenia można by sądzić, że w tym domu przyspasabiają się do pogrzebu, a tym czasem ubierano tam narzeczoną do ślubu.

Tak niedawno miłe, niewinne dziewczę Natalja, gotowała się do zaręczyn, pełna radości i szczęścia. Tak niedawno, te same komnaty były świadkami żywój, wesołej ucty a około młodej dziewczicy, dawały się tylko słyszeć głosy: Ach jakaż ona szczęśliwa!

Dziś cel tego szczęścia osiągnięty. Za kilka godzin Natalja będzie żoną tego którego wybrała jej serce, tego, który przed kilku miesiącami był potężnym ulubieńcem cesarza. A jednak około Natalji słyhać tylko łkania, widać łzy płynące. Nie z radością tak właściwą młodej oblubienicy, lecz ze smutkiem a nawet goryczą w sercu, rozkładała ona wspaniałe ślubne szaty w które ubierała się jak gdyby w strój śmiertelny. Nie cieszą ją stroje i różne drogocenne kamienie, i patrzy na brylanty jak na łzy skamieniałe wyciśnięte rozpaczą.

(d. c. n.)

Przegląd teatralny.

Kontrybucje pana Stefana. Komedja w jednym akcie p. p. Clairville i Henryka Gillet spolszczona przez panią Joannę Belejowską.

(przedstawiona dnia 22 Lipca 1870 roku.)

Jest to figielek dramatyczny, bardzo zgrabnie ułożony, w jakie literatura francuzka tak bardzo obfituje. Z niczego zrobić coś rzecz to niemała, zwłaszcza gdy się można z tego uśmieć i zabawić. Treść bardzo prosta, w kilku słowach da się opowiedzieć. Nie ma tu ani zawiłej intrygi, ani szczególnej tajemniczości, wszystko zasadza się na zręcznym obrazowaniu różnych sytuacji scenicznych, w którym główna treść jest tylko tłem na jakim cała się komedjka rozwija.

Pan Stefan bogaty kapitalista (p. Stolpe) zwyczajem wielu podobnych jemu wietrzników, w cztery miesiące po ślubie, zaczyna przekonywać się, że oprócz żony z którą ożenił się z prawdziwej miłości, znajdują się i inne kobiety warte spojrzenia i zalotnego słówka. Zbyt to może zawczasie, ale bardzo prawdopodobnie i pan Stefan na nieszczęście, nie jest pod tym względem lepszym od wielu innych. W grzesznej jednak zalotności, posiada wielką cnotę, świadomość błędu nie usprawiedliwanego naciąganiem sofistematami. Znając to, łaje sam siebie, nazywa wisusem, niepoprawnym łotrem, robi sobie wyrzuty, że żonę tak dobrą, kochaną, zdradza i oszukuje, a na okupienie słabości, która go przerzuca jak piłkę od jednej piękności do drugiej, nakłada na kieszeń swą kontrybucje realizujące się w różnych podarunkach żonie Alinie składanych (pani Rakiewiczowa). W miarę jednak większego przeniewierzenia, drogocennosc podarunków wzrasta, i rozpoczęte od bukietów za spojrzenie znaczące, za myśl przelotną kodeksem małżeńskim karconą, przechodzą następnie w brosze, bransolety, kolczyki brylantowe, aż do zamiaru kupienia pałacyku letniego w okolicy Warszawy. Ma to stanowić kontrybucję, za umówioną schadzke z Marylą Dolską wdową (pani Borkowska) spotkaną przypadkiem przy banhofie kolei żelaznej,

a będącą na nieszczęście przyjaciółką żony Stefana. Panię Dolską kocha rejent Stański (p. Piasecki) który powierzone sobie przez Stefana notatki wydatków kontrybucyjnych, z wymienieniem za co i kiedy na siebie nałożył, wyrzuca przypadkiem z teki w chwili radosnego powitania ukochanej, i tym sposobem zdrada wydaje się i zdrajca, ale jeszcze niewystępnay, pałacyk kupuje i przyrzeka upamiętanie.

Rzadki to egzemplarz mąż podobny, czasami może i pożądany, tu jednak Alina wolną jest od zarzutu chętki do podobnego ustępstwa, a nawet miłosne oświadczenie bogatego anglika, postuguje jej do upamiętania męża i jego poprawy. Rzecz więc jak widzimy bardzo prosta i całą wartość jej stanowi zręczność dialogu i obmyślenie sytuacji komizm uwydatniających. Jest on też szczerze rozsypany w całej sztuce, a nigdy nie zniża się do płaskości, nigdy nie przechodzi w trywialność.

Gra artystów była lekka, swobodną i pełną życia, wszystkie odcienia z drażliwości sytuacji wynikające szczególnie w grze pani Rakiewiczowej i pana Stolpego, owo tajemie myśli gdy usta co innego mówią, obrażona godność żony, powstrzymywanie przez nią, wybuchu wymówek, radość męża z nadziei powdzenia, obawa, słowem najdrobniejszy szczegół został jak należy uwydatniony, nadając całości zaokrąglenie, ową pełność tak pożądaną w każdym scenicznym przedstawieniu.

Komedjka ta nie została dosłownie przetłómaczoną, ale spolszczoną przez p. Belejowską. Rzecz się więc odbywa w murach Warszawy, a osoby wchodzące do niej mają nazwiska nasze, co nie może ujemnie wpływać jak się wyraził Kurjer Warszawski, na werniks życiowej prawdy i właściwy humor. I u nas są kapitaliści choć nie tak liczni jak w Paryżu: i u nas są mężowie podobni panu Stefanowi, może nie wszyscy z nich wyrzuty sumienia ze złamania wierności małżeńskiej, załadadzają sutemi dla żon podarunkami, ale i w Paryżu nie stanowi to cecny mężów płochych i przeniewierzających się. Prawda więc w przepolszczeniu nic nie traci, a że i humor utrzymał się na wysokości nastroju komicznego, najlepší świadczyło zadowolenie widzów, na przedstawieniu.

Ale jeszcze słów kilka.

Role lokaj, w dawnych komedjach niemałego będące znaczenia, w dzisiejszych jako nie stanowiące oddzielnych charakterów i prawie zawsze biernie do sztuki wchodzące, powierzone są zwykle artystom którym różne powody, nie dozwoliły stanąć na pierwszorzędnym stanowisku. Otóż role te chociaż malutkie, często ograniczające się na kilku tylko słowach, przedstawiane są jak najniewłaściwiej, co w obec gry innych artystów, tak pełnej swobody i naturalności, razi i jeszcze się bardziej uwydatnia. Lokaj w salonie gdy słucha rozkazu swego pana, stoi prosto, w postawie pełnej uszanowania, z widoczną gotowością spełnienia natychmiast wydanego polecenia. Jeżeli zaś przypuszczony zostanie do dłuższej gawędy w celu ściągnięcia jakiej wiadomości lub wybadania, odpowiada wprawdzie z większą swobodą ale daleką od zbytniej poufałości, z lekkim tylko filuternym odcięciem, zdradzającym domyślność dworaka zwykle wtajemniczonego w sprawy domowe i zadomowe swego państwa. Oznaki jednak tej domyślności jako zawsze mimowolne, nie zdradzą go nigdy, bo wie dobrze, że w dworskiej służbie nie na to ma się usta aby paplały co oczy dostrzegą, lub co się wykryje przez zestawienie zdarzeń i podsłuchanie tu i owdzie tajemnej rozmowy. Otóż lokaje na scenie naszej zupełnie inaczej się przedstawiają: słuchając nachyla się jakby byli głuchemi, w potakującej odpowiedzi kiwają głową najnieaturalniej, a gdy mówią rozkładają rękami jak mówca na trybunie co jako niezwyčajne podobać się nie może. Jest to wprawdzie drobiazg, może nawet nie zasługujący na krytyczne jego ocenienie, ale przy wzorowej grze artystów naszej sceny, godny chociaż pobieżnej wzmianki. Dla tego zwracamy na to uwagę kogo należy; w przedstawieniach scenicznych harmonja we wszystkich szczegółach jest konieczną jak w muzyce, i czem w niej jeden ton fałszywy, tem w sztukach dramatycznych jednostka choćby najpodrzedniejsza, neodpowiadająca swemu zadaniu.

Odczyty w zakładzie nauki, sztuki i rzemiosł dla kobiet jakie już miały miejsce, rozpoczną się na nowo z dniem 1 Września r. b. z podziałem na dwa oddziały i ukończone zostaną w dniu 15 Lipca roku

przyszłego. W dziale pierwszym wykładana będzie zoologia z fizjologią i botaniką z ogrodnictwem, estetyka, teoria i historia malarstwa, rzeźby, muzyki i śpiewu, hygieny, pedagogia, mineralogia, porównanie prawa handlowego z cywilnym, i podane zostaną wiadomości o figurach geometrycznych i solidometrycznych.

Dział drugi poświęcony będzie wykładowi: geografii fizycznej, powszechnej i handlowej, geologii, fizyce z kosmografią, chemii nieorganicznej, analitycznej, technologii chemicznej i ekonomii.

Zadaniem odczytów, jak program objaśnia, będzie podać słuchaczkom charakterystyczną cechę każdej nauki wykładanej, jej zastosowanie, wpływ na rozwój przemysłu i gospodarstwa.

Streszczenie takie nie dając specjalnego poznania nauki, kształci słuchacza torując drogę do dalszego studiowania nauki w pewnym obranym kierunku. Odczyty te nie są zatem kresmem nauki, a tylko światłem rzuconym na drogę dalszej pracy i nauki. Cena wejścia na każdy odczyt kop. 25, w abonamencie kop. 15, który można dopełnić albo na pojedynczy przedmiot lub na wszystkie razem. Kurs wszystkich przedmiotów złożony z wykładów 225 w abonamencie kosztować będzie r. s. 33 kop. 75, które to samo mogą być rozłożone na rat sześć miesięcznie opłacanych. Wykładów tych naukowych podjęli się panowie: Stolarski asystent katedry zoologii przy uniwersytecie warszawskim, magister Sulimierski i redaktor Wędrowca, znany literat i pedagog Podwysocki, artysta malarz Gerson, artysta muzyk Kleczyński, doktor Dobieszewski, profesor uniwersytetu Papłoński, profesor Jurkiewicz, profesor Kotkowski, asystent katedry Dziewulski i Milicer. Tak poważne grono osób poświęcających się nauce, daje zupełną rękojmię użyteczności zapowiedzianych odczytów, obudzając zarazem pewną nadzieję, że znaczne usiłowania Zakładu nie będą bezowocne i do sal jego zgromadzą liczne grono słuchaczek, pojmujących ważność nauki i jej praktyczną użyteczność.

Niezależnie do tych wykładów, zakład przygotował piętnaście popularnych odczytów pięcio-kopiejkowych także dla kobiet, które rozpoczęte z d. 1 Sierpnia b. r. odbywać się będą raz na tydzień we środę od godziny 7 do 8 wieczorem. Program tych odczytów jest następujący:

Pojęcie okolicy, części świata, ziemi świata, słonecznego, wszechświata, — kulistość ziemi, jej wymiary, budowa zewnętrzna i wewnętrzna, atmosfera, góry, oceany, ruch wód w naturze, wulkany, trzęsienie ziemi, geizery, wody mineralne zimne i gorące, kamienie, metale, paliwa kopalne. Temperatura ziemi, klimat, sfery, pory roku, dzień i noc, świt i zmierzch, pogoda i niepogoda. Niebo, horyzont, lunety, teleskopy, słońce, zodyak, odległość słońca od ziemi, jego natura, rozmiary, plamy, cień, kompas, wpływ słońca na istoty organiczne, na człowieka, na pogodę. Księżyc, odległość od ziemi, natura, góry, lunacje, lisa czapka, wpływ na pogodę, przypływ, odpływ morza. Zaćmienie słońca, księżyc, przesady, lunatyzm i t. p. Planety, jutrzienka, Jowisz, Saturn, małe planety. Komety, ich natura, przesąd co do komet. Gwiazdy stałe, konstellacje, wóz niebieski, Baby, krzyż południowy, Droga mleczna. Kamienie spadłe z powietrza, aerolity, holidy, gwiazdy przelatujące.

Do powyższych odczytów zarząd Zakładu zaprosił Redaktora Dziennika Wędrowiec p. F. Sulimierskiego, który w dalszym ciągu ma traktować geografie opisową, ziemi w podróży systematycznie ułożonych.

Pan Makowiecki Aleksander który na polu działania w kwestjach ekonomicznych, tak jest ciągle czynnym i niezmordowanym, w Tygodniku Ilustrowanym wystąpił z projektem stanowczego wytypienia żebractwa w Warszawie, aby to przestawszy być korzystnym rzemiosłem, nie grabiło ofiar miłosierdzia dla prawdziwej nędzy przeznaczonych. Że rzemiosło to nader jest korzystnym, że w żebrzącej czeredzie najwięcej jest oszustów i wyzyskiwaczy, głośzących głos istotnej niedoli i nieszczęścia, świadczy świeży wypadek z Jakóbem Szarafin ze wsi Luchów w powiecie Biłgorajskim. W osiemnastym roku życia, kiedy świat dla młodego zarówno w chacie jak w pałacu zrodzonego, uśmiecha się bardzo ponę-

tnemi powabami życia, on namówiony przez niewidomego żebraka, przyjął na siebie rolę niemowy i wspólnie z nim jako przewodnik puścił się w świat na żebranie. Praktyka musiała być dobrą, skoro Szarafin po dwóch tygodniach widząc zyski obfite a współkę dla siebie niekorzystną, opuścił swego nauczyciela i zatrzymując zmyślane kalectwo, został żebrakiem sam na własną rękę. I tak zwodził i oszukiwał ludzi przez lat szesnaście. Klóćąc, bijąc się, upijając, żebrząc, zawsze był niemową i nigdy nawet przez sen nie zdradził swego oszustwa. Musiało ono widocznie przynosić mu nader zyskowne plony, skoro taki leniuch z natury, pracował jednak przez lat tyle na utajenie swego kłamstwa i byłby może dotrwał do końca życia, gdyby nie zapaleczywa bitwa w karczmie, w której nagle przemówił został przyaresztowany. Ponieważ nie ciąży na nim żadna kryminalna wina, po odsiedzeniu aresztu, naturalnie wypuszczony zostanie. Cóż jednak będzie robić?

Na człowieka w trzydziestym czwartym roku życia, zostać żebrakiem cokolwiek zawcześnie, zostać parobkiem lub wyrobnikiem trudno, bo praca ciężka wymaga wprawy i przyzwyczajenia od młodego wieku, czego Szarafin zaniedbał. Choćby wreszcie chciał się do pracy i przymusić, to nigdy nie dorówna robotnikowi co pracą ciągle się zajmuje, każdy go dzień potrzyma i wypędzi a tu żyć koniecznie trzeba, i podjąć w szyneczku i zabawić się i przyspiwać a to wszystko niemało grosza wyciąga. Cóż więc robić? Ha! nie ma rady, trzeba ukraść najprzód kuszulę z płotu, później konia z pastwiska, potem podkopać się pod drób, po wieprza, w końcu napaść na równej drodze, a gdy być inaczej nie może to i zabić.

Tym to sposobem tworzą się zbrodniarze i społeczność w ich przestępstwach odbiera karę, za błędne pojmowanie miłosierdzia, wspieranie nie nędzy prawdziwej ale próżniactwa i za obojętność w kwestjach tak ważnych jaką jest zapobieżenie żebractwu.

Towarzystwo dobroczynności bardzo zanie spełnia swoje obowiązki, ale rozwijając się w raz obranym kierunku ani myśli o reformach w każdej instytucji z postępem czasu koniecznych. Trzeba raz wejść na inną drogę, trzeba nie samem tylko wsparciem zapobiegać żebractwu, ale i przypuszczaniem do pracy, zakazem wyciągania ręki, usuwaniem nieposłusznych a wreszcie kontrolą jak najściślejszą nad biedą wszelkiego rodzaju. Wiemy że to wymaga pracy i to niemałej, ale sądzimy że członkowie Towarzystwa nie dla czczego tytułu do niego należą, ale właśnie dla pracy aby nią służyli społeczności.

Cyrk stucznych jeźdźców od pewnego czasu bawiący Warszawę, nie cieszy się zbyt wielkim powodzeniem. Brak mu koni i amazonek, brak dowcipnych gimnastyków, brak różnorodności i elegancji jakimi zalecały się wszystkie przedstawienia Rensa, a przedewszystkiem brak mu skromności w ocenieniu pieniężnym trudów podjętych dla zabawienia żebranej publiczności. Ceny biletów w wysokości dorównują teatralnym, i to zapewne główna jest przyczyna obojętności Warszawy.

Powiadają, że przedsięwzięcia pan Tournaire, ma w zapasie jeszcze wielbłądy, które spodziewa się gmach cyrkowy zapelnąć większą liczbą ciekawych. Zapewne że wielbłąd żywy i do tego tresowany, dość ponętne przedstawi widowisko. Ow okret pustyni, jak go przezwała imaginacja wschodu, wielu zapragnie zobaczyć. Tłusta Flora mniej ciekawa, a jednak ciekawych oglądania naocznie olbrzymich wdzięków nadreński dziewczicy miała mnóstwo, dla czegożby więc wielbłądy miały zostać opuszczone? Wypełnią zatem wiernie swoje przeznaczenie, cyrk napełni się od dołu do góry, czy na długo? to znów co innego. Dwa, trzy dni, i to gratka niemała, a potem? Nastąpi obniżenie ceny wejścia, które wybornie mogło być od razu ustosunkowane do naszej zamożności.

Że na to nie baczą panowie przedsiębiorcy publicznych wystąpień, począwszy od koncercistów muzycznych aż do skoczów cyrkowych, wina samej publiczności Warszawskiej. Gdyby wiedziano, że tak jak w Niemczech; na drogie ceny nikt się nie da złapać i pominię z obojętnością, salę koncertową lub cyrkowe widowisko kilka rublowemi obwarowane cenami, z pewnością podobni panowie spuściliby z tonu, i chętnie garnęliby półrubelki i złotówki, zyskując na massie coby tracił na obniżeniu. Ale dla czegoż nie mają więcej żądać, gdy ochotników nie

brakuje? Drzeć łyka gdy się dają, to tak łatwo a szumne deklamacje o sztuce, o jej wpływie, o posłannictwie artystów, także nic nie kosztują. Można niemi szastać na prawo na lewo jak pałaszem.

OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH
w Warszawie.

Ruskiwicz — Marszewski — Grabiński.

Tatry albo Karpaty, ta niewyczerpana skarbnica precudnych widoków natury, zanadto są piękne uroczyska, aby nie dostarczały często naszym malarzom materiału do popisu. Tą razą Wystawa kilka posiada obrazów, w treści zaczerpniętych z Karpat między którymi prace p. Ruskiwicza śmiało można oddać pierwszeństwo. Jest to widok wodospadu Popradu w Tatrach a raczej strumienia bystro pędzącego po łożysku wysłanem kamieniami, z którymi szamocząc się i pieniąc, woda pędzi coraz dalej tworząc spadki wielce do wodospadowych zbliżone. Obok strumienia leżą skaliste złomy odwieczne, porośnięte mchem zielonym ułożone ręką natury zapewne jeszcze w czasach geologicznych wstrząszeń, gdy przez skorupę ziemską niższe jej pokłady przedzierając się utworzyły karpackie góry. W oddaleniu widać łańcuch górskich wyniosłości okrytych lekką mgłą, jak to zwykle dzieje się na wszystkich wyżynach. Cały ten widok dziki, samotny, ożywia tylko orzeł unoszący się po nad przepaściami. Szkoda że pod nim artysta nie pomieścił choć jednego myśliwego, któryby mierząc z broni ognistej miał ochotę ściągnąć go z pod niebios na ziemię. Byłoby to pustynię cokolwiek ożywiło: obecność ludzi nigdy efektu nie psuje ale go podnosi. Szkoda również że p. Ruskiwicz więcej życia nie pomieścił w wodzie strumienia. Potok tak rwący jak Popradu, nie tylko szumi ale i pryska tworząc lekką mgłę wodnistą; otóż tego pryskania z owego pylenia wody wcale tu nie widać. Szkoda to wielka powtarzamy, bo obrazek odznacza się lekkością i swobodą wykonania, delikatnością kolorytu, dobrą perspektywą i większem zbliżeniem do natury niż inne prace p. Ruskiwicza.

Pana Marszewskiego widok Karpat z góry nad czarnym lasem, także przerzyna strumień wody doliną płynący, w której tu i owdzie rozrzuconych kilka drzew starodrzewu iglastego, i kępy krzaków świadczą, że to miejsce niegdyś lesiste do szczytu wycięte zostało. Po za tą polanką bezdrzewną, ciągnie się skalista ściana gór karpackich, których oddalenie nie dość wyraźnie zostało odznaczone. Zdają się być niby bliskimi, a jednak zaprzecza temu malutkość drzew i niewyraźny rysunek krzaków dolinę zalegających. Być może, że z wysokości z jakiej artysta zdejmował ten widok tak się cały obraz przedstawiał, ale punkt ten nie jest tu ściśle odznaczony, i dla tego wrażenie wiele na tem traci. I ten obraz ożywiają także tylko dwie sarny czy też jelenie, stojące spokojnie przy strumieniu. Gdyby był artysta górę z której zdejmował widok, pomieścił w małym kawałku z boku na pierwszym planie, a dolinę bezdrzewną wypuścił od posady skały w dalszy głąb obrazu, praca cała wiele by na tem zyskała. Patrzący, mimowoli z góry także patrzyłby na dolinę, co obecnie dzieje się przeciwnie i tym sposobem cały efekt ginie.

Przedburze w karpatach p. Grabińskiego Henryka jest to malutki obrazek nie usprawiedliwiający miejscowości, którą ma niby przedstawiać. Na wzgórzu widać tylną ścianę jakiegoś budynku gospodarczego kryjącego się w gąszczu drzew otaczających go. Jest to zapewne początek wioski do której przed burzą podąża góralka. Dalszy widok zasłania podnosząca się burza, którą artysta wcale nieźle uwydatnił w ciemnym tle nieba, w rysunku drzew i w układzie idącej kobiety. Znać tu że wiecher wyprawia swoje groźne harce, że szamocząc strzechą, chwiejąc drzwiami, targając odzieniem goralki, lada chwila chmurom wydrze piorun a przestrzeń nieba, rozedrze błyskawicą. Obrazek to z talentem namalowany a sama trudność zadania wiele za nim przemawia. Płaszczyzna jednak na pierwszym planie umieszczona, wymaga więcej naturalności.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszy z drzeworytami.

N. 1. Berta tiulowa ubrana atlasem.

Kr6j na dodatku N. XVI. Fig. 43.

Na podstawie tiulowej, przykrajanej podlug fig. 43 ukladaj sie kontrafaldy z illuzji i ubieraj 4 cent. szerokaj, atlasowaj kolorowaj riuszaj na 1 i p6l cent. wysiepanaj. Zakończajenie dolne berty, stanowi 2 i p6l cent. szerokaj



N. 1. Berta tiulowa ubierana atlasem. Kr6j na dodatku N. XVI Fig. 43.

N. 3. Stanik i tunika z haftowanymi falbankami.

Falbanki dziergane w glębokie zęby i haftowane kropki, stanowią garnirunek sukni muslinowej białej na kolorowym podwleczeniu, lub też jedwabnej fularowej czy z batysty „ceru“. Tunika w każdym razie powinna być muslinowa; falbanki na sp6dnicy s ą r6żnej szerokości.



N. 3 Stanik i tunika z haftowanymi falbankami muslinowymi.



N. 2. Kostium ze stanikiem p6l wyciętym i tunikaj.

riusza z podw6jnie zlożonej kolorowej illuzji, i 2/3 szeroka podw6jna pliska z kolorowego atlasu. Do przodu idzie kokarda z 6 cent. szerokiej atlasowej wstajki z kończajami wysiepanymi na dlugosc 6 centymetr6w.

N. 2. Kostium ze stanikiem p6l wyciętym. Rycina przedstawia dopelnienie sp6dnicy z falbanaj jak



N. 4. Szalowy stanik riuszami przybrany. Przytym zegarek ch ątelaine.

Po nad falbankami dajaj sie muslinowe pliski, przegradzane haftowanym brzeżkiem. Kolorowe kokardy i szarfa ze wstajki z paskiem kolorowym lub muslinowym dopelniaj calosci.



N. 6. Weinany paletot (prz6d). Kr6j i opis na dodatku N. V. Fig. 9—13.

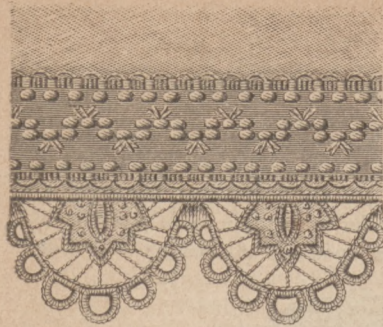


N. 5. Torba do kapielowych przybor6w.

tunika wycinanaj w zęby, na której idaj jeszcze dwie riusze. Stanik w kwadrat wyciętj podw6jnaj riuszaj w kole i na ramionach ubrany, ma jeszcze tunikaj podpinanaj. Na modelu z z6łtej mienionej z brązowym tkaniny, riusze z prostego kawalka s ą wysiepane, co formuje odmiennaj frendzelkaj. Zęby ciemnaj materjaj lamowane, otrzymujaj jasnaj wypustkaj; kokarda jest z ciemnej wstajki. Wykr6j stanika zapelnia szmizetka z podw6jnego muslinu, przedzielona wstawkami irlandzkiej koronki. Na zszyciu plisek muslinowych i wstawek daje sie brzeżek haftowany, na muslinowych pasach haftowane lub gipiurowe gwiazdki.



N. 7. Weinany paletot (plecy). Kr6j i opis na dodatku N. V Fig. 9—13.



N. 11. Garnirunek z haftowanej wstawki i gipiury, do ozdoby sukien pikowych i batystowych.

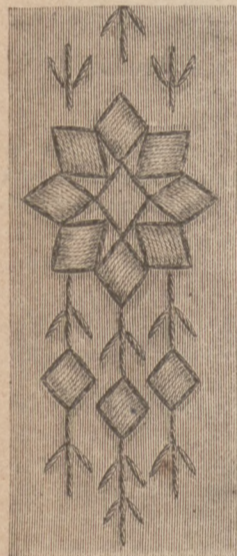
N. 4. Szalowy stanik z zegarkiem „châtélaine.”

Z magazynu p. Cambrai w Paryżu na bulwarze Strasburskim N.12.

Stanik aż do paska otwierany, ubiera stojąca falbanka i riu-sza (chicoré) na którą potrzeba pasków w kolorze sukni, wycinanych w zęby. Różne materiały jedwabne i bawełniane, nadają się do tego rodzaju ubrania; zamiast wycinania w zęby można brzegi riu-szek wysiepywać. Falbanka ma 4 — 5 cent. riu-sze 5 — 7 cent. szerokości. Przy pasku wisi modny zegarek „châtélaine.”

N. 5. Torba do kąpielowych przyborów.

Dogodna ta torba z czarnej amerykańskiej skóry, wymaga 35 cent. długiego a 120 cent. szerokiego kawała, podłużnie zeszytego tak żeby szew ukryty, wewnątrz pozostał, dwa 7 cent. duże tekturowe kółka, powleczone skórą na obiedwie strony z przewierconemi dziurkami, dla przewleczenia sznura do trzymania, wszywają się w oba końce torby, ułożonej w 3 kontrafaldy w około. Torba zapina się na dwa czarne guziki i петельki.



N. 13. Wyszycie kolorowe.

N. 6—7. Weinany paletot.

Krój i opis na dodatku N. V fig. 9 — 13.

N. 8 — 10. Szyfonierka.

Krój i opis na dodatku N. XV fig. 38 — 42.

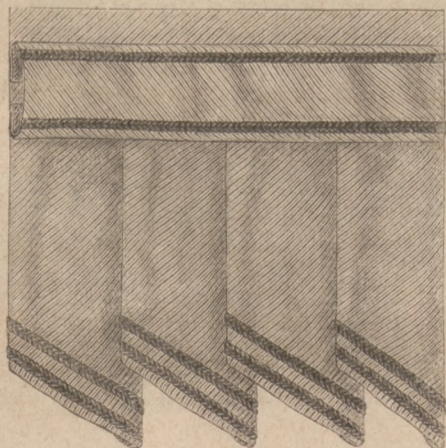
N. 11 — 20. Rozmaite oszycia do sukien i bielizny.

N. 11. Garnirunek ze wstawki haftowanej i gipiury, do oszycia sukien pikowych i z batystu „écru.”

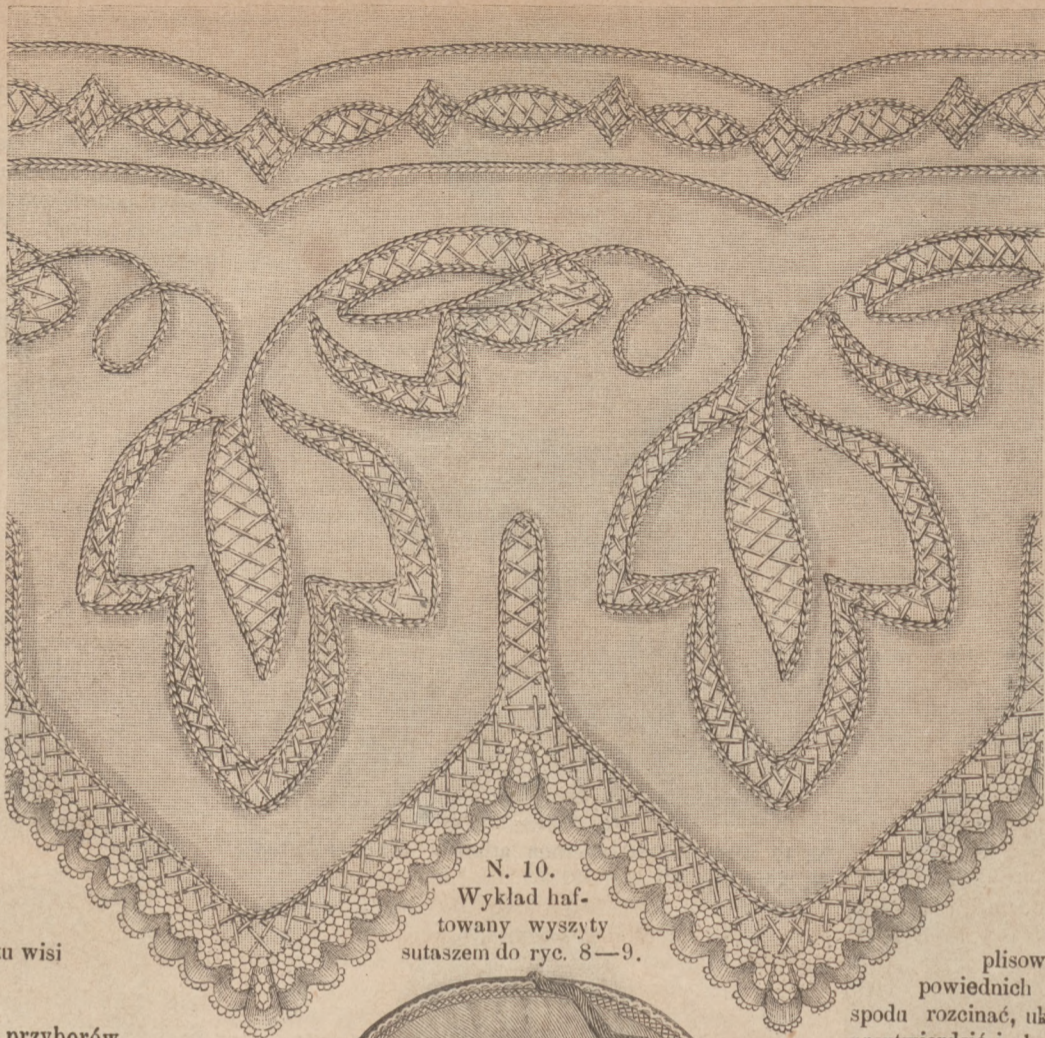
N. 12. Garnirunek z haftowanej szlarki i wyszycia.

N. 13. Deseń w kolorowe pasy.

Deseń ten kolorową włóczką i jedwabiem wyszyty, ozdobny stanowi szlaczek. Model na tasiemce



N. 18. Garnirunek z zębów plisowanych i pliski.



N. 10. Wykład haftowany wyszuty sutaszem do ryc. 8—9.

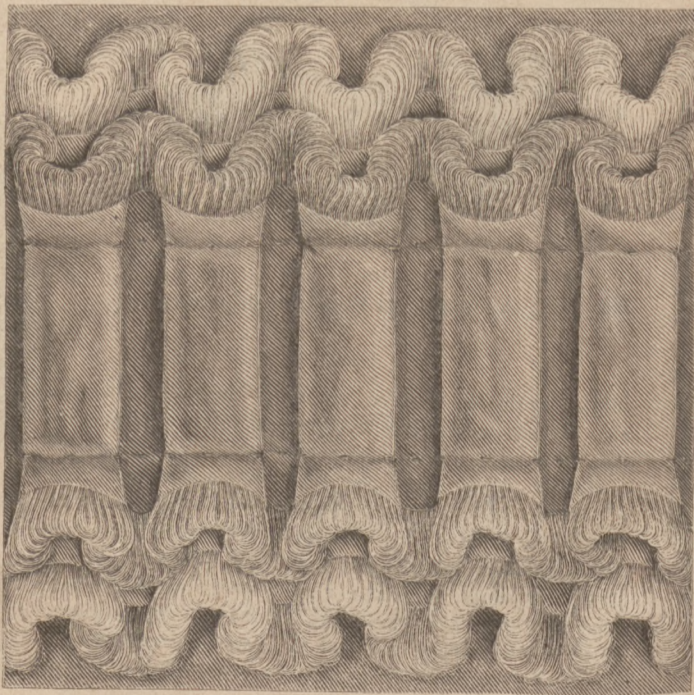
N. 9. w rodzaju



Szyfonierka kosza. (Otwarta). Krój na dodatku N. XV fig. 38 — 42.



N. 8. Szyfonierka w rodzaju kosza. (Zamknięta). Krój i opis na dodatku N. XV fig. 38 — 42.



N. 20. Garnirunek faldowany, obszuty frendzlą nieprzecinaną.



N. 12. Garnirunek z haftowanej szlarki i wyszycia do sukien letnich.

niebielonej, podaje główny deseń coraz w innym kolorze, przedstawiając obwódki zawsze czarne a listki zielone. Szlaczek ten widzimy zastosowany na ryc. 26 w numerze 30 Tyg. Mód.

N. 14 — 17. Szmuklerskie oszycia bawełniane i jedwabne, w białym lub czarnym kolorze.

N. 18. Garnirunek z zębów plisowanych i pliski.

Rycina przedstawia pas plisowany w zęby pikowy żółty, czarnym sutaszem wyszuty. Faldy plisowania, 1 cent. głębokie dają się w odpowiednich odstępach; trzeba je następnie z pod spodu rozciąć, ukośnie pozalamywać z prawej strony przytwierdzić i ubrać sutaszem. Po nad zębami idzie jeszcze pliska.

N. 19. Garnirunek w zęby z muślinowem plisowaniem.

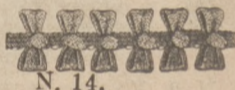
Rycina przedstawia materiał rozcinany u dołu i zalamywany w zęby, pod spodem zafastrzygowane i podłożone muślinowem plisowaniem. Próbkę podaje żółtą pikę wyszytą w podłużny desenik białym i czarnym sutaszem. W miejsce sutaszu, można dać szlaczek szydelkowy albo szmuklerski.

N. 20. Garnirunek faldowany z nieprzecinaną frendzlą.

Wyciągając poprzeczne nitki materiału, przygotować łatwo, modne i oryginalne oszycie w rodzaju strzępiastych piórek. Model przedstawiony 12 cent. szeroki tak się dzieli, że wyciągane nitki powinny zajmować na 2 cent. szeroką przestrzeń, druga środkowa część faldowana z nagłówkiem z każdej strony, zajmuje 8 cent. Przy każdym nagłówku wyciąganym odlicza się po 2 cent. materiału gęstego i zamocowuje brzeg garnirunku. Dolne kontrafaldowanie daje się w ciemniejszym kolorze.

N. 21—24. Serwetka i wałek na sofę.

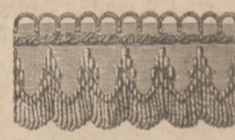
Rycina 24 przedstawia próbkę pokrycia na wa-



N. 14.



N. 15.

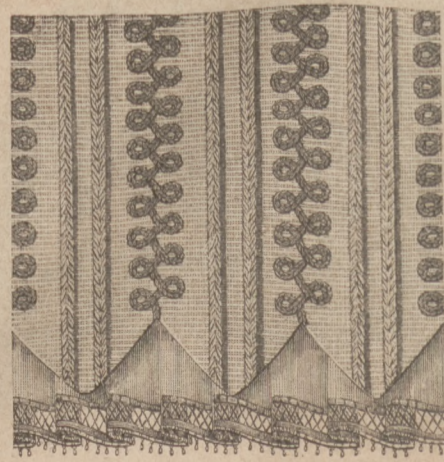


N. 16.



N. 17.

Szmuklerskie torsadki do ozdoby sukien.



N. 19. Garnirunek w zęby z muślinowem plisowaniem

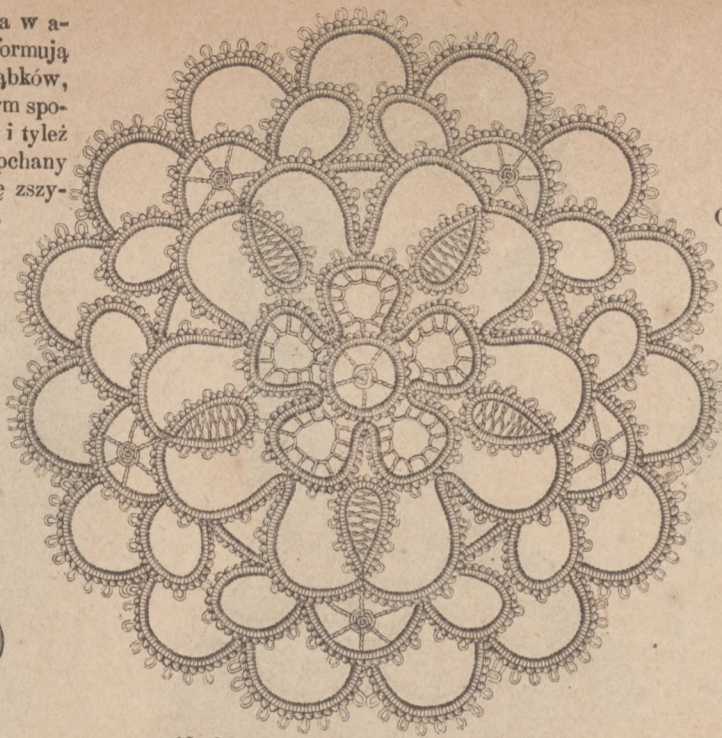
lek w naturalnej wielkości, składa się ona z płótna w ażurowe szlaczki wyciąganego i frywolitek, które formują także szlak serwetki. Frywolitki robią się z półzabków, dwoma nitkami odrobionych iłączonych gipirowym sposobem (point de reprise). Pięć pasów płóciennych i tyleż frywolitkowych 44 cent. długich, pokrywają wypchany 23 cent. średnicy mający wałek. Pasy te mogą się zszyć wać ukośnie lub prosto. Podszewka przeglądająca przez poszycie i kokardy stosować się powinny do mebli. Serwetka wynosi 30—35 cent. średnicy. Środek zajmuje frywolitkowa rozeta, przedstawiona w naturalnej wielkości na ryc. 21 i przydziergana na płótnie, podobnie jak i dalsze pasy. Płótno wycina się pod frywolitkami. Pikotami zakończone ząbki stanowią brzeg serwetki.



N. 25. Kapelusz dla chłopczyka. Krój na dodatku N. XVII Fig. 44.

N. 25. Kapelusz dla chłopczyka. Krój na dodatku N. XVII. Fig. 44.

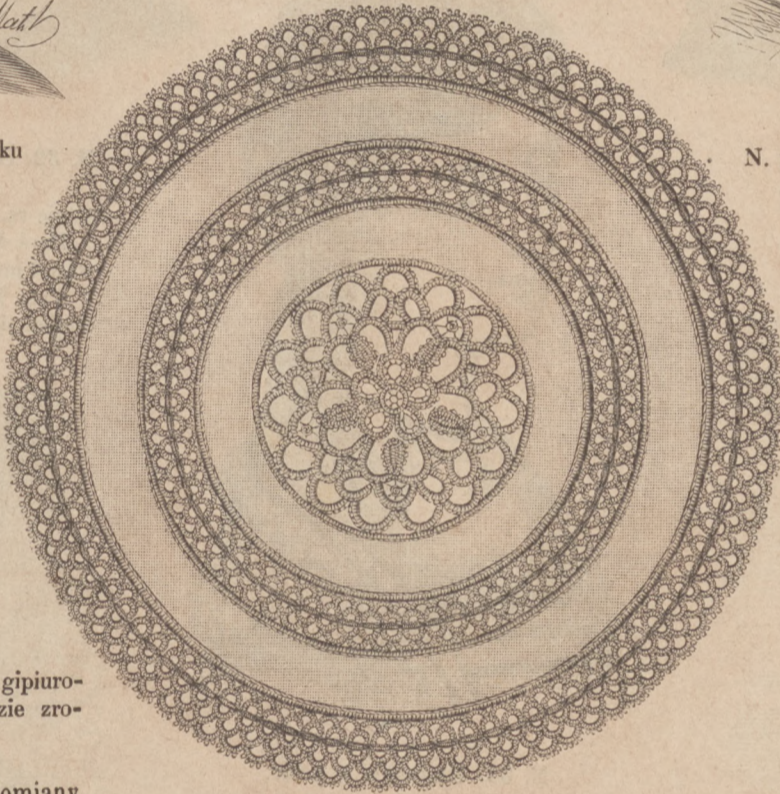
Główka kapelusza z białego rypsu bez podszewki, wymaga owalu 26 cent. długiego 22 cent. szerokiego, który się naszywa sutaszem w około, zostawiając tylko brzeg na 9 cent. bez wyszycia; wążka gipiura zakończy naszywie sutaszu. Rondko krajane z dubeltowego materiału w całości. Przed zeszytciem główki z rondkiem, rozpuszcza się krochmal w spirytusie zwilża tem kapelusz i prasuje gorącym żelazem; potem układa się główka w fałdy stosownie do obwodu głowy, przyszywa rondko i daje garnirunek w około, złożony z ruszy 2 cent. szerokiej półbatystowej, obszytej z obydwóch brzegów tiulikiem gipirowym i sutaszem we środku. Kokardka na przodzie zrobiona z rypsu; brzeg kapelusza obszyty gipiurą.



N. 21. Rozeta frywolitkowa do ryc. 22.



N. 23. Wałek z frywolitkowemi pasami.



N. 22. Serwetka na stolik. Płótno i frywolitki.



N. 27. Cygarnica.

N. 26. Słomiany kapelusz i napiersnik dla dzieci.

Biały ten słomiany kapelusz z odwinięciem 1 1/2 cent. szerokiemi objęciem z kolorowej wstążki, ma na główce kokardę z piórkiem do boku przypiętą, od której idzie opaska, kokardką z zakończone. Prócz kapelusza

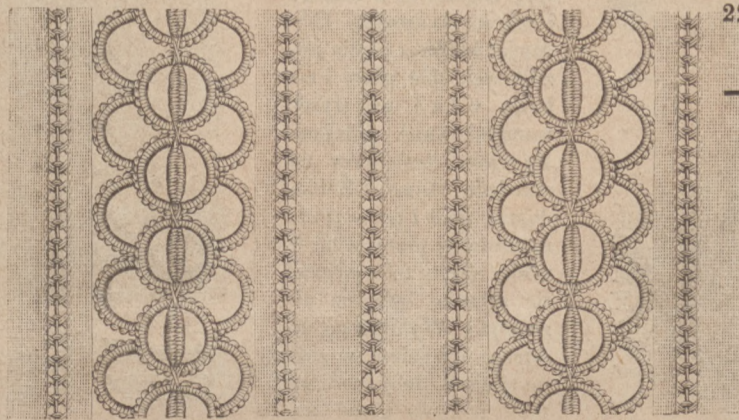


N. 28. Cyfra do ryc. 27 i do znaczenia chustek do nosa.

Podajemy jeszcze napiersnik w zęby lekko podwatowany i wypikowany w kwadraty. Brzeg wydziergany z nicianą koronką.

N. 27—29. Cygarnica.

Rycina przedstawia wewnętrzne urządzenie cygarnicy na której wyszyta ozdobna cyfra. Prócz przedziału na cygara, jest woreczek aksamitny brązowy, elastyką ściągnięty, na chowanie czubków od cygar odcinanych i drugi przedział zawierający mosiężne pudeleczek do zapalek.



N. 24. Próbką pasów do ryc. 23.

N. 30—33 Uczesania włosów.

Z zakładu fryzjerskiego p. Bysterveld w Paryżu Faubourg S. Honoré 5.

N. 30. Uczesanie z loków.

Na loki, biorą się włosy poprzecznie odebrane do tyłu. Od góry plecie się mały warkoczek z promienia, płasko przypięty dla przytwierdzenia przednich włosów i podkładów. Od czola odgarnięte włosy, zaczęsuja się „à la Valois” lub „Dubarry” na dość dużym wałku. Z końców, robi się z tyłu kokarda, lub loki pokrywają warkoczek wspomniany. Kwiaty albo kokarda dopełniają całości.



N. 26. Słomiany kapelusz i napiersnik dla dziewczynek i chłopczyków.

N. 31—32. Uczesanie w rulony.

Na dużych wałkach odczesują się włosy do tyłu jak to wskazuje ryc. 31 i 32 a jeśli włosy nie są tak gęste, ażeby się rulony z sobą stykały, daje się między nie warkoczek albo loki. Włosy przednie skarbowane i podwinięte na podkładkach i kokardy ze spadającymi końcami, związane z aksamitki opasującej głowę, dopełniają całości.

N. 33. Uczesanie w pukle.

Rycina podaje uczesanie z niewielkich włosów, formujące rulony z boków i małe nioby. Szynion i spadające loki mogą być fałszywe. Kokarda rozetowa z pasowego aksamitu i rajskim piórkiem uzupełnia uczesanie.

N. 34. Kostium haftowany z frendzlą. Krój i opis na dodatku N. X. Fig. 21—26a.

N. 34. Kostium przybrany fałdowanymi plisami i frendzlą, utworzoną z wyciąganego materiału sukni.

Krój tuniki na dodatku N. X. Fig. 22—26a. Zobacz także rycinę 20.



N. 29. Cyfra do ryc. 27 i do znaczenia chustek do nosa.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Legumina z kartoflaną mąką.

Dziesięć żółtek wiercić z pół kwarterkiem mialkiego cukru, dosypać po trochu pół kwarterek mąki kartoflanej, dodać pianę z dziesięciu białek mocno ubitą i wlać w rondelk wysmarowany masłem i obsypany buleczką tartą. W piecu trzymać trzeba 20 minut.

Do legminy tej podaje się sok lub bita śmietana z cukrem.

Wafle.

Bierze się 6 filizanek mąki pszennej, cztery kubki masła sklarowanego, 8 żółtek i drożdży piwnych dwie łyżki stołowe. Masło z mąką rozciera się na śmietanę, żółtka dolewają i znów się wierei, potem wlać drożdży i śmietanki kwartę, wymieszać dobrze i piec w żelazku.

Wafle innym sposobem.

Wziąć jaj 17 całych, białek 5, kwartę mąki, rozbić to wszystko dobrze, potem dodać łyżkę drożdży, mleka półkwarty, masła topionego pół kwarty, ubić to wszystko w garnku przydać cukru tłuczonego łyżek 2 i cytrynowej skórki drobno krajaną, postawić to ciasto w ciepłe aby wyrosło, a jak wyrosnie, żelazo smarować piórem w masle maczanym, ciasto mieszać warzechwią za każdym razem leżąc w żelazo i piec na ogniu.

Marja S.

Mazurki makaronikowe do wina.

Migdałów słodkich funt jeden, gorzkich 2 luty oparzyć i usiekać drobno, cukru miłkiego funt, wymieszać z ubitą pianą od dwudziestu jaj. Błachę wysmarować niesolo-



N. 34. Kostium haftowany z frendzlą. Krój i opis na dodatku N. X Fig. 22—26a.



N. 30. Uczesanie z loków.



N. 33. Uczesanie w pukle.

nem masłem, układać na to opłatki i smarować każdy masą migdałową.

Piec nie powinien być gorący.

Marja S.

Legumina waniljowa.

Pół kwarty śmietanki lub mleka prosto od krowy, zagotować z wanilią i cukrem do smaku. Oddzielić białka z pięciu jaj, z których ubić pianę i takową wlać na wyżej wzmiankowane gotujące się mleko, obrócić na obie strony. Żółtka dobrze ubić i po wyjęciu ugotowanej piany wlać w mleko ciągle mieszając aż się zgęstnie, byle się nie zważyło. Wyłożyć na salaterkę i wynieść w zimne miejsce, żeby ostygło; przy podaniu ubrać kawałkami ugotowanej piany i konfiturami

stosownie do gustu. Pianę ostrożnie klasć trzeba w mleko, żeby się dobrze ugotowała.

J. W.

Sposób robienia syropu na orszadę.

Migdałów słodkich funt. 2 gorzkich pół funta oparzyć, z lupin obrać, zinną wodą migdały oplukać i ocedzić potem migdały te drobno usiekać, wziąć wody krynicznej kwart 2, którą migdały siekane w donicy wierec po trochu zalewać. Uwierciwszy te wszystkie migdały w ten sposób, przez czystą serwetę przecedzić, w precedzoną masę cukru funtów 4 utłuczonego miłko wsypać, (można i funt tylko wsypać). Rozetrzeć to wszystko jak najlepiej i dla rozpuszczenia cukru trochę na blasze podsmarzyć. Przesmarzoną cokolwiek masę ostudzić, wlać w słoje, a gdy potrzeba robić orszadę, włożywszy tej masy łyżeczkę od kawy do szklanki wody krynicznej. Syrop ten lat kilka konserwować się może.

Józefa W.

Korespondencja

Pani Wandzie N. Magiel pokojowy w zakładzie pana Ostrowskiego kosztuje rs. 50. Większy rs. 75. Duży angielski rs. 195.

N. 32. Uczesanie w rulony.

Pani M. O. w Tomsku, Rs. 325 odebraliśmy. Sprawunki już wysłane zostały.

Pani Teodozji R. Do zrobienia sukni stanik na miarę koniecznie jest potrzebny.



N. 35. Kostium z faldowanymi plisami i frendzlą przybrany. Krój tuniki na dodatku N. X. Fig. 22—26a. Zobacz także ryc. 20.

1870 roku. Opis krojów.

Nr. I. Płaszczki do kąpielii.

Ryc. 19 w Tygod. Mód Nr. 30.

- Fig. 1 Prząd.
- Fig. 2-4 Mały format przodu.
- Fig. 2-4 Mały format pleców.
- Fig. 3-4 Mały format peleryny.
- Fig. 3-4 Mały format peleryny.

Obliczenia główne części fałsu fiandkowego białego płaszcza, stosownie do szerokości materiału bez szwu w tyle przykrojenego, oznaczone są na długości i szerokości kroju strzałkami. Na małym formacie można rozpoznać fałs w całości. Obliczamy brzeg w szwy pasową taśmą, łącząc się od części od A — B zastawiając szwy na wierzchu i otwór pachy na 10 cent. długości. Brzeg gładki szwu wypadający na spod w pasze, trzeci również obliczamy pasową taśmą, którą przedstawia peleryna w szwy, opatrzoną haftkami, która się przy lamowaniu wykroju szwy łączy z odciskiem, stosownie do liter.

Nr. II. Majtki ze stanikiem do kąpielowego ubrania.

Ryc. 12 w Tygod. Mód Nr. 30.

- Fig. 4-5 Białe majtki.
- Fig. 5-6 Polowa przodu i tyłu stanika.
- Fig. 6 Ramięcisko.

Majtki te są wykonane z białego, miękkiego materiału z tyłu przesytego, z przodu gęsto zapinany na guziki. Listwy proste z jasniejszego materiału, ubierające wykrój szwy i majtki w rodzaju lampasów, mogą być dopelnione pasówką z okrągłym lub kwadratowym karaskiem, a wtedy kaftanik nie jest koniecznym. Pianola lub do kąpielii używany „Łeokot”, zalecają się na takie kostiumy. Pasy i prochy stanika kroją się równo podług fig. 6; wieszaki pleców zostawiają się gładkie, przodu opatrzyć zaszwkami.

Nr. III. Kapturek kąpielowy i deson na wyszycie sutazsem.

Ryc. 5 w Tygod. Mód Nr. 30.

- Fig. 7-8 Polowa kapturka.
- Fig. 7-8 Deson (kociwka).

Pasowemu tybetem pokryty, ozdobiony kapturek z wyszyciem, kokardą na przodzie przepiętą dzianową kociwką, przypiętą kostiumową pokrywką głowy „Maznello” szwan. Fig. 7 wyszycie szwu, od kociwki brzegu kapturka idącego przez środek. Brzeg z przodu ładnie się od gwizdki na 67 cent. szerokości i obliczamy pasową pasówką, którą przesyte, formuje szwów do przyległości pasowej taśmki. Na fig. 7 w naturalnej wielkości podana kociwka, czarnym sutazsem po bokach wyszycia i 15 cent. długi kwast szlaczkowy dopełnia całości.

Nr. IV. Peleryna do osuszania włosów.

Ryc. 4 w Tygod. Mód Nr. 30.

- Fig. 8 Polowa peleryna.

Pelerynka ta z żółtawej ocrety, przykrojona podług fig. 8 długości z tyłu, odpowiednio do długości rozpuszczonych po kąpielii włosów, kładzie się z wierzchu stanika, szwy nieprzemakal. Pasowa lamówka i naszytynie pletnia z pasowego sutazsu, stanowią cały garnitur model. „Zaszwkami” pasowe służą do wieszania peleryny pod szczyt.

Nr. V. Wcinany paletot z szalowym wyłożeniem.

Ryc. 6-7 w Tygod. Mód N. 31.

- Fig. 9 Prząd.
- Fig. 9-10 Mały format przodu z wykładem szalowym.

Model z ozarnego jedwabnego typu, z rozprawkami przy każdym szwie, ubrany jest 2 cent. szeroka czarna aksamitka, opatrzoną z jednej strony wypiętą aksamitową bez szwów. Spółki z tyłu przesyte, oba tylni objaśniają małe formy. Każda aksamitka spieszono w górę przyszyta, kończy się potelką u dołu i kociwką. Prząd zapięty na trzy haftki i podszycy jak brzeg rękawów 2 i pół cent. szerokości ukosem, oszycie się 1 i pół cent. szerokość fryzdzika; brzeg paletota, rękawów i ramienia zakończony 11 cent. szeroka, kwadratowa frędzela z naszytynem. Przyszyte ramienia, oznaczają na plecach litera L. Ramiona ten stosownie do liter przyszyte przy szwach i szalowo ułożony z przodu z jednej strony się przyszywa i zakończony na pierśniach aksamitną rozetą, której pakielki mają szlaczkową wypiętkę po jednym brzegu. Mniejsza rozetka z trzema długiemi kociwkami, spada przez sam środek pleców.

Nr. VI. Sukienka od kurzu dla pańnek od 7 do 10 lat.

Ryc. 31 w Tygod. Mód N. 30.

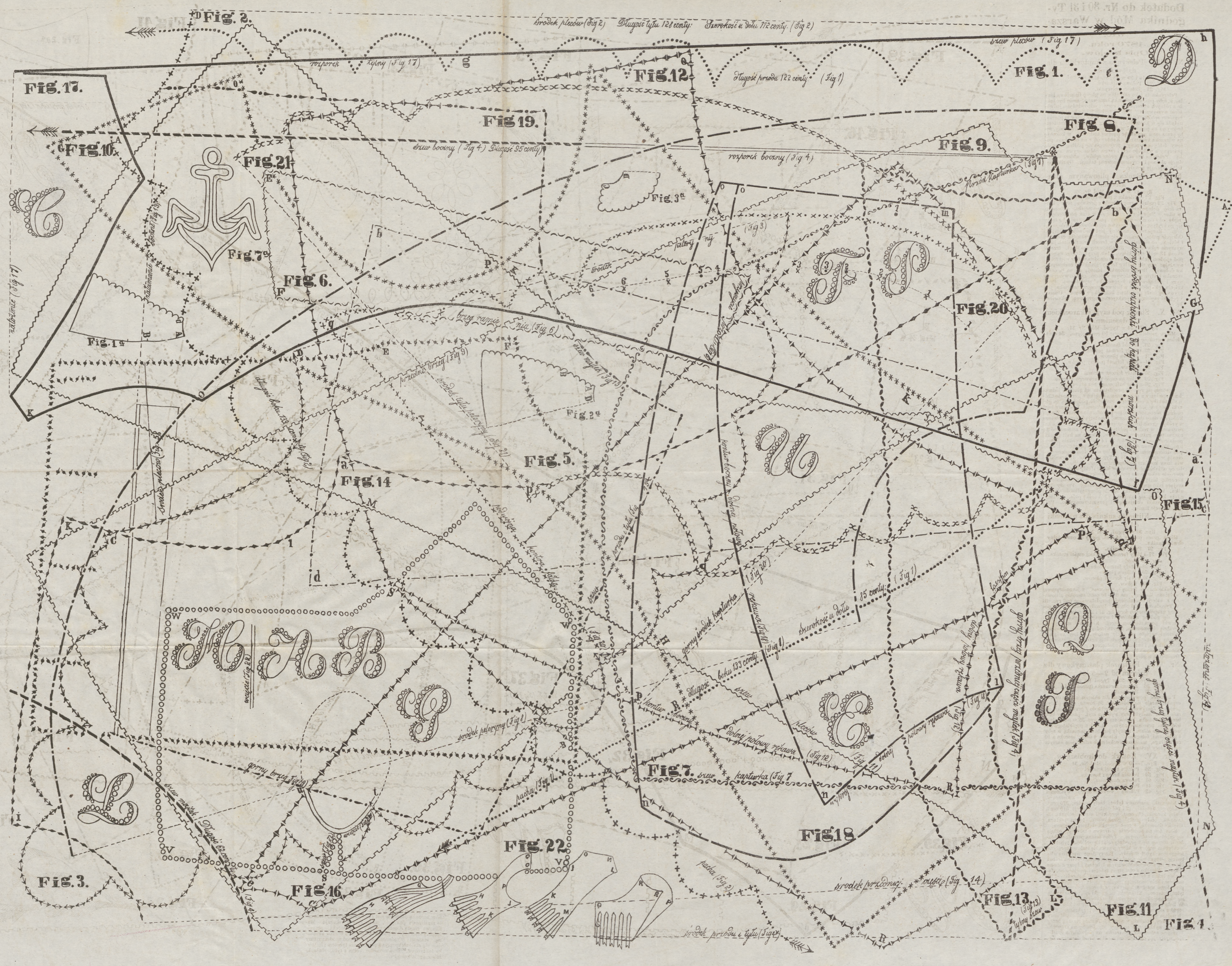
- Fig. 14-15 Polowa przodu sukienki.
- Fig. 15-16 Bok do przodu.
- Fig. 16-17 Bok do pleców.
- Fig. 17-18 Polowa pleców.
- Fig. 18-19 Bok.

Sukienka ta przyszyta na model z Anglii jako bardzo dogodnej formy, nadaje się do każdego welnianego i bawełnianego materiału. Stanik i spodnie z jednej strony podług form jak w robie przyniesione, zaczyna się po przedłużeniu stosownie do podanej szerokości i długości, jak wszystkie bryty, oznaczone literami. Model z białego, welnianego typu, przesyte, przesyte jest głównie jako narzutka na wygosowaną sukienkę z krótkimi rękawami, chroniona równo od kurzu, jak od palących promieni słońca; ma też dla tego bardzo długie ramię i rozprawkę przy szwaniu stanika w tyle. Wykrój szwy obejmuje się 1 cent. szerokości ukosem. Przez fałszywie danej fałszy 12 do 14 cent. szerokości, dana jest jeszcze wstawka z irlandzkiej koronki, kolorowo podłożona; to samo ubranie powtarza się na rękawach, epoletach i przy szwy. Pasek jedwabny tegoż koloru kokardą zakończony z tyłu, przyszyty turecką jedwabną, koronką i frędzela oszyta.

Nr. VII. Majteczki zestaniem dla 3-6 letniego dziecka.

Ryc. 19 Polowa majteczek.

- Fig. 19-20 Prząd i tył majteczek perkalowych przykrawa się jednokrotnie, podług Fig. 19 i ubiera tyłu używaną irlandzką koronką. Zszyte szwy obie pelery krytym szwan rozcięciem trzeźba rozprawkami na bokach i podszycy ukosem w kole. Tył narzęczy się i obejmuje 2 i pół cent. szerokości a 30 cent. długości perkalowemu paszkiem, przodu zaś zamierzony na 50 cent. wyszycie 60 cent. długiego paszka, który służy zarazem do objęcia potem, marszczącego u dołu białkowego stanika. Stanik ten składa się z dwóch prostych 24 cent. długich a 50 cent. szerokich paszka, które dla zestawienia 1 i pół cent. długiego ramięciska, przy pasze trochę się ukosno fałszy. Wykrój szwy jak u damskich kociwk, z tyłu na pół cent., z przodu na 1 cent. głęboko się wstają i okrągła. Pachy 15 cent. długie, w przedach tylko na pół cent. więcej trzeźba; przodu rozcięte i zakrzyżone, spinają się na guziki. Pasek 4 i pół cent. szeroki a 36 cent. długi, formuje kliniki opatrzone buffi rękawów, 20 cent. długim wazkim paszkiem objęte. Wykrój szwy otrzymuje 65 cent. długi a 1 cent. szeroki paszeczka. Guziki przyszyte na pasku majtek w tyle, spinają się na dziurki dane, w tyle stanieszka, przód także spina się na trzy guziki, wstępują i na końcach paszki uszyczone. Trzy żółte i irlandzka koronka (point lace) w naturalnej wielkości pod Nr. 16 przedstawiona, stanowią garnitur nogawek. Wykrój szwy i rękawki oszycie się wyższą koronką.



1870 roku. Opis kroj6w.

Nr. VIII. Pelerynka z kapturkiem dla dziewczynki.

Ryc. 19 i 20 w Tygod. M6d Nr. 30. Fig. 21 Połowa kapturka. Pelerynka ta jako zarzutka na gł6we flanelowa biała, w szczy pasowej tasiemką lamowaną, może być także z różnych materjałów i oieni, odpowiednim jedwabem wyzywana. Fig. 20 podaje formę kapturka z obramowaniem zęb6w. Obrysowany w szczy trzeci kapturka, układa się w kontrastny podług znak6w, i przestembnowywa na pasowym welnianym pasku dwa razy, żeby przez szew przysiadła tasiemka, w kokardę na wierzchu zwiazaną. Kaptur od r na obiedwie połowy fałdy opatrzonej, przyczepia się podług liter do peleryny u wykr6ju szyi i razem oblanowony w tasiemką. Peleryna bez szwa, przeź zęb6w, układa się w dw6je złożeń i przystembnowaną tasiemką. Guzik i p6 telka zapinają prz6dy.

Nr. IX. Mitenka z pisowanym mankietem.

Ryc. 17 w Tygod. M6d Nr. 30. Fig. 22 Mitenka z pierwszemu palcom. Fig. 23 podaje formę mitenki z perkalu „c6ru”, któr6 szły dobrze leżała wymaga materjału, złożonego w uk6s. Najpierw rozcina się w dłuż podw6jnej l6nki od do na pierwszy palec, potem od t6 g6dy się go krytym szewem ieszwy r6kawkiczk6 od do te raz6m. R6zpek oznaczony jest podw6jną linią. Odcięcie palec, odznacza się stembowaniem czarnym i białym, co się daje także w trzech promieniach jako wyszyte r6kawkiczk6. Na pisowany mankiet, trzeba uk6s 13 cent. szerokości, i tak przyfastrzyżowanego pod spodem, żeby pisowanie nieodziedalało z wierzchu, uwazając aby się podług formy mankieta rozszerzało ku d6łowi. Brzeczki mitenki, lamują się na 3/4 cent. szeroko białym perkalowym uk6sem, czarno wyzywany i nak6rzonym k6rdeck6 sztylow6. Przy zg6ciu r6ki podszycia w listewce gumowa tasiemka, pokrywa się biał6 perkalow6 kokardk6 z uk6su. Guzik i p6telki zapinają t6 praktyczn6, ogrodow6, r6kawkiczk6.

Nr. X. Stanik pod szyj6 z karoczkiami i deseniem.

Ryc. 33 i 34 w Tygod. M6d Nr. 31. Miara modelu w połowie 50 cent. g6rni, 34 cent. d6lna szerokość stanu. Fig. 23 Pr6d6 stanika. Fig. 23-a Mały format prz6du. Fig. 24 Połowa plec6w. Fig. 24-a Mały format połowy plec6w. Fig. 25 R6kaw. Fig. 25-a Mały format r6kawa. Fig. 26 Gł6wn6 cz6ść szarowego desenia. Fig. 26-a Liść hafcowany bez szaru. Kostium na ryc. 33 przedstawia na gładkiej jedwabnej sp6dniczce z pisowaniami i bułk6 z „c6rpe-de-Chine”, tamiż z ostannego materiału podpiętan6 na guziki i stanik, jedwabny z karoczkiami. Kostium ten6 r6druż niemiernie maj6ce powodzenie zawaz6 w dw6ch kolorach dozwalają mieszcz6 i materjał leższ6 welnian6 w r6k6w6, granadyn6 i na naw6t b6łyst6. Stanik z karoczkiami w r6k6w6 i staniku, daje się zastosow6ć do rozmaitego gatunk6 stanik6w. Deseni6 na haft t6nik6, podajemy osobno pod fig. 26 i 26-a. Frenzla jedwabna, krejowana 10 cent. szeroko, przystosowana się pod dziegnotem li6ni6, któr6 się potem dopiero wyzywają w szczy. Ryc. 34 w Tyg. M6d Nr. 31 przedstawia inny kostium do poprzedz6cego zbilżony. Sp6dniczk6 ozdabia pisowanie w kontrastny uk6s 13 cent. szeroko zakończono r6szk6 i szunika z puffem, oszyta koronk6 biał6 6 cent. szeroko i ozarym deseniem, maj6c6 jako nak6dek szarym r6szk6. Pr6zdy stanika, krej6 się podług fig. 23 plec6 tylko do stanu, gdzie kończ6 się paskiem i kokardk6 pufa, z jednej praktyczn6 szyci6 szarym i przymaszczonym. Pał ten, form6 tamiż.

Nr. XI. Kliniasta sukienka dla panienki od 8—12 lat.

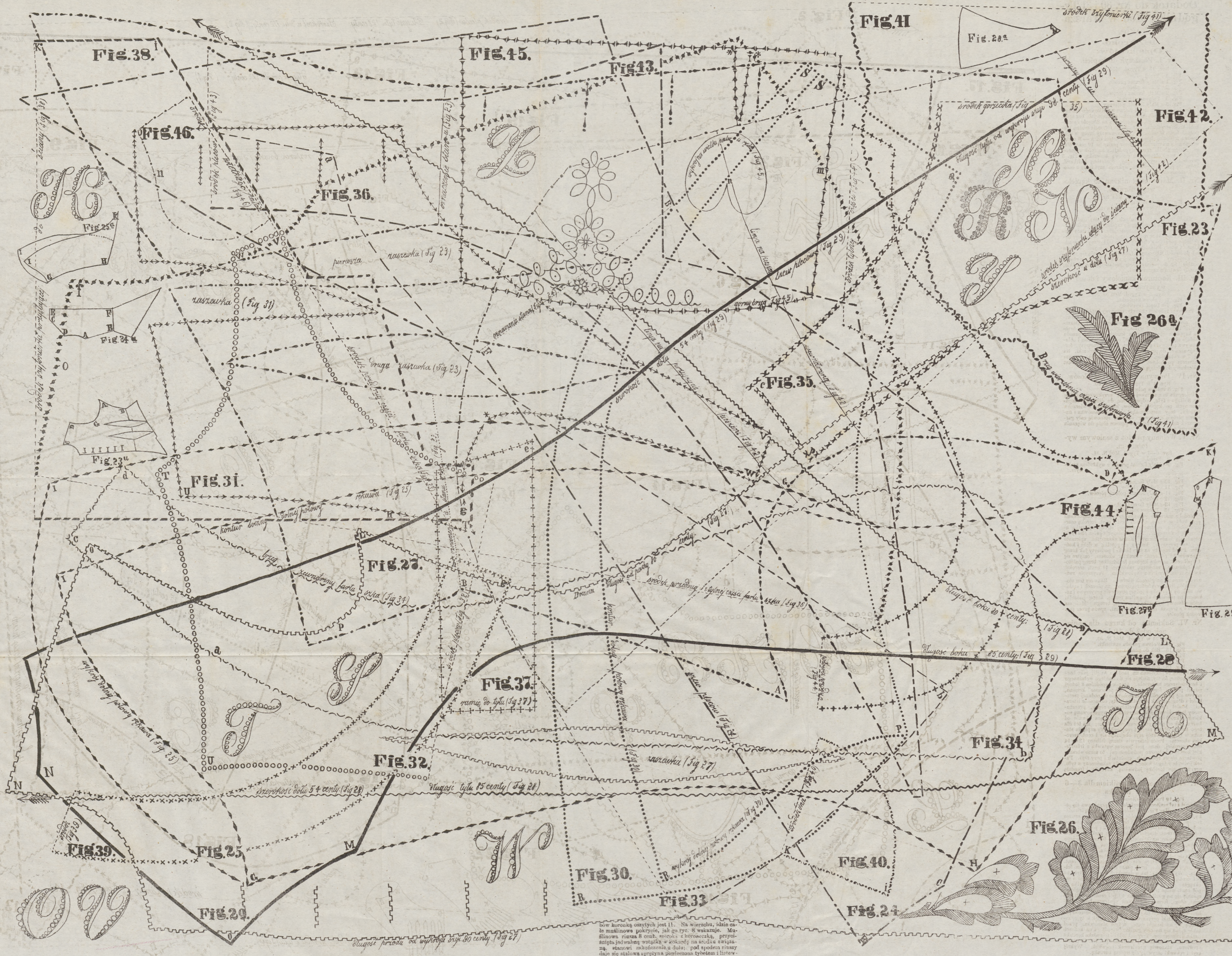
Ryc. 30 w Tygod. M6d Nr. 30. Miara prz6d6 44 cent. g6rczy 34 cent. d6lny obw6d stanika. Fig. 27 Pr6d6 stanika. Fig. 27-a Mały format prz6d6jnej cz6ści stanika. Fig. 28 Bok. Fig. 28-a Mały format boku. Fig. 29 Połowa plec6w. Fig. 29-a Mały format plec6w. Fig. 30 R6kaw. Sukienka ta form6 „princesa” z jasno-brz6zowej welnian6 idealny, na 8—10 cent. szeroko pisowniana z materjał cienkiej, przedstawiono pod ryc. 18 w Tygodniku M6d Nr. 31. Pr6zdy, boki i plec6y podług uszupielonych form fig. 27 i 29 skrojona, zaszyc6 się podług znak6w i wymaga perkalowej podszywki po za stan szyci6j. Kieszonki materjał jedwabny obejmowane, przytwierdz6 guziki jedwabne, jakimi zap6s6 są także prz6dy. Wł6ny zwiazane czarno aksami6k6, odpowiedni6 czarnym dziegnotem lauczszk6w6 i tasiemk6w6 zdobieg6m graniczn6. Pr6nelowe brz6zowe buczki oszyte s6 jasni6sz6 jedwabn6 frendz6k6 u g6ry.

Nr. XIV. Fartuszek pi6szczykowy dla dziecka od 2—5 lat.

Ryc. 25—26 w Tygod. M6d Nr. 30. Fig. 30 Połowa fartuszka (pr6d6 i tył). Fig. 31 Ramiazczko. Fartuszek powi6szony tak dla chłopca jak dla dziewczynki, krej6 się podług fig. 30 r6wn6 d6je plec6y i prz6dy. Zaszyc6y brzegi od a do f przyczepiają się ramiazczka naszyte przy wykroju szyi, pasze i w k6ło brz6gu fartuszka, brzeżkiem pod ryc. 26 w naturalnej wielkość6 przedstawionym. Model z popielatego bawelnianego atlasu, naszyty jest biał6 tasiemk6 w szczy i p6skiemu sz6gami. Klapka 4 cent. szeroko a 10 cent. dł6ga, najmniejsz6 okoł6wi6k sz6sz6m naszyta spina plec6 fartuszka.

Nr. XV. Koszyk do drobiażg6w.

Ryc. 7—10 w Tygod. M6d Nr. 31. Fig. 38 Połowa tyln6j szcianki. Fig. 39 Połowa brz6gu koszyka. Fig. 40 Połowa dna kosza. Fig. 41 Połowa wieczka. Fig. 42 Połowa wewn6trznego wyłożenia z Kieszonk6. Materjał: szafrowy tybet, biały muslin, 370 cent. szafrowej w6t6ski, (2 1/2 pol cent. szeroko) 516 cent. biały koronki, (7/8 cent. szeroko) biał6 plecionka szafrowa, biały perkal g6mszany, gruba tektura, nitk6 deszczka, 1 cent. szeroko stalowa spr6żyna. Kosz ten na podstawie z drzewa i tektury, okleja się tybetem szafrowym. Tyln6 sz6na perkal6m oblan6, szyc6 się z prz6dn6j szcianki oblan6 tybetem, z obr6bn6 u g6ry w któr6 wsuwa się stalowa spr6żyna szyci6j6sz6 tybet w fałdy. Liter6 dane w6sp6dzio ukł6daj6 z6dawni6m6 pojedynczych element6w. Tyln6 sz6na ukł6daj6 się zn6w6 ufałdowanym tybetem i t6cz6 z dnem kosza. Wiezeczko z obu stron tybetem powlożone, 6cz6y się l6tno z tyln6 sz6n6, dwiema kokardami i lamuje w k6ło materjał podług fig. 42 i rozszyc6 się perkalow6 w6wn6trze koszyka, z dwiema kieszonkami na tyln6 sz6n6. Kieszonki na guziki szyci6 oszyte s6 koronczk6 i krzyżkami szafrow6 jedwabiu. W k6ło brz6gu k6ca i wieczka, daje się na kom6 listewka osobna koronk6 i jedwabiem przybrana. Ryc. 10 podaje w naturalnej wielkość6 wyklad muslinowy wyszywany, szyci6j6sz6 w6z z stalow6 r6szk6 brz6gu kosza, wyklad ten nadz6je się troch6 na sznurek. Wyszyc6 szafrow6 d6ć trzeba na podw6jnym muslin6, wycinaj6c pod spodem muslin z pod deseni6. Z6-



ow6 koronk6 oszytych jest 11. Na wierzchu, idzie całe muslinowe pokrycie, jak go ryc. 8 wskazuje. Muslinowa r6szka 8 cent. szeroko i koronczk6, przyczepiają jedwabn6 w6t6sk6 w kokard6 na sredciu zwiazan6. Stanow6 zak6szenie u d6łu; pod spodem ryszyc6 ukł6daj6 się stalowa spr6żyna powlożona tybetem i listow6m tektur6w6. Dwa znaczn6 k6łk6 z tyłu, służ6 do zwiazania koszyka.